AS



Nr. 4

24 STYCZNIA 19

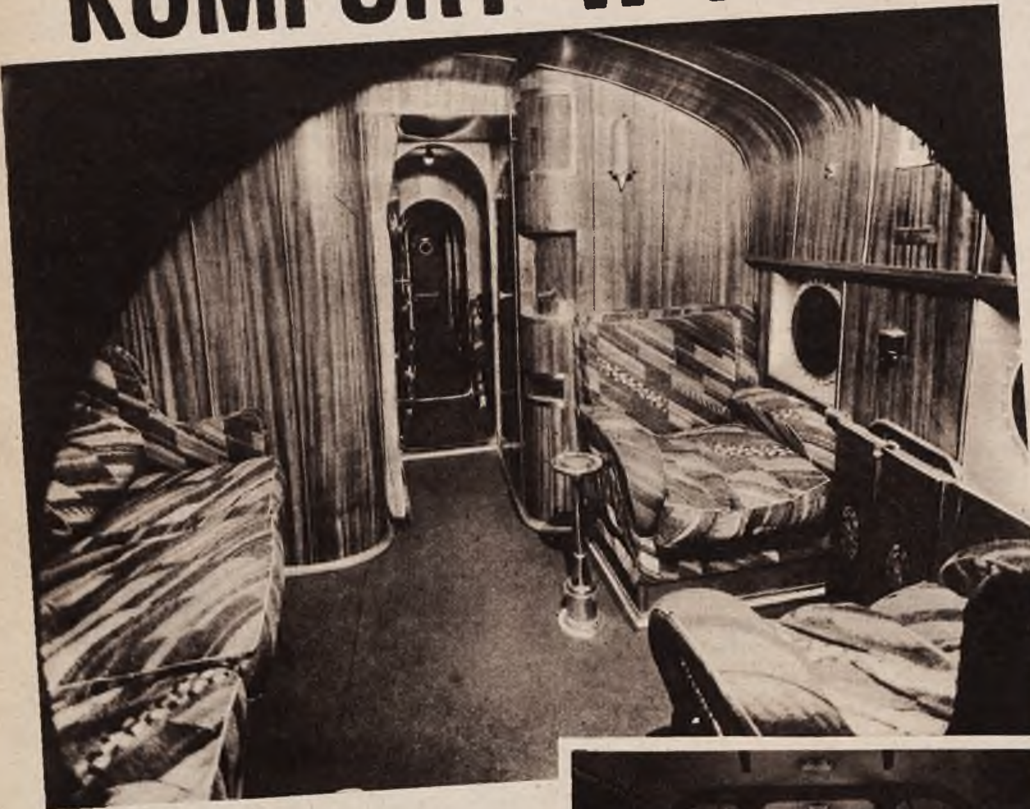
CENA 40 GROS

=

EUROPA I AZJ

Z wiedeńskiego b
maskowego.

KOMFORT W PRZESTWORZACH



Oto wnętrze palarni na olbrzymie pasażerskim „Caribbean Clipper", który zdoła pomieścić 50 osób.

Nie każdemu danem jest podróżować wielkiemi zeppelinami, czy luksusowemi samolotami. Najnowsze „cygara" niemieckie, kursujące regularnie między Berlinem a Ameryką Południową, zabierają każdorozowo do stu pasażerów, zapewniając im komfort i bezpieczeństwo, bodaj większe, niż na ogromnych okrętach transatlantyckich. Komfort ten zbliżony jest do tego, jaki podróżni, przywykli do komunikacji powietrznej, znajdują na pokładzie wielkich samolotów, obliczonych na 24 osoby. Istnieje oczywiście różnica zasadnicza między wygodami na samolocie i w balonie (choć ściślej należałoby powiedzieć „pod balonem"), w wygodnej i obszernej gondoli. Ta różnica tak wielka wzbudza aż podziw dla kontruktorów: udało im się rozwiązać problem rachunku statycznego samolotów, umożliwiającego pomieszczenie tych wszyskich sal i kabin w samym kadłubie samolotu.

Należało przytem starać się o dostarczenie podróżnym takich samych wygód, do jakich przyzwyczajeni są w hotelu (tendencyjnie nie mówimy: we własnym domu), na okręcie, czy w autobusie luksusowym, czy w „salonowym" pociągu. A tymczasem warunki są tak inne! Minęła jednak epoka pierwszej ciekawości, kiedyto człowiek, przedsiębiorący podróż samolotem, wkładał skórzany hełm, takąż kurtkę, przywiązywał się pasem do problematycznego siedzenia, chwiejącego się w przestworzach... Ileż razy dziś poważne obrady dyplomatyczne, decydujące o losach Europy, odbywają się w kabinie samolotu, nad biurkiem, zawalonem dokumentami!... Prawda, biurko to jest specjalnie zbudowane, niezwykle lekkie. Przytem każdy centymetr sześcienny kabin jest obliczony i wykorzystany, zwłaszcza w samolotach pasażerskich, pragnących uzyskać najtańszą kalkulację cen biletów. We Francji (jak i w innych państwach), doszło do tego, że ludzie bardzo często korzystają ze samolotu, by zyskać na czasie, coraz to bardziej cennym. Są więc adwokaci, jak słynny Legrand, podróżujący stale samolotem z jednego sądu do drugiego.. Znam pewnego lekarza, korzystającego z niedzieli, by udać się na Lazurowy Brzeg z Paryża (około tysiąca kilometrów)... Fryzjer światowej sławy, Antoine-Cierplikowski również samolotem objeżdża swe filje, rozrzucone po Europie... Przykładów cytować możnaby w nieskończoność; aktualność każe nam wspomnieć dyskusję „samolotową" Hitlera z Ribbentropem.

Zarówno wspomniane balony, jak i samoloty, posiadają nietylko sale o wygodnych fotelach z widokiem bardzo „rozległym", ale i sale jadalne i kabiny sypialne, oświetlane i ogrzewane elektrycznością... i palarnie i salony...

Tymczasem sfery fachowe są nieco zaskoczone tym pędem ku luksusowi i w obawie, że idąc dalej po tej linji, wypaczy się ideę pierwotną konstrukcji samolotów, a nawet zmniejszy ich bezpieczeństwo. Nie bądźmy jednak pesymistami, konstatując, że więcej stosunkowo wypadków notują koleje żelazne, niż samoloty. I to tembardziej, że nauka, idąc naprzód, zapewnia tym ostatnim coraz to większe bezpieczeństwo, zaprzęgając radjo do kierowania samolotem.

Czy dziwić się można tym, którzy zakosztowawszy przyjemności i komfortu samolotowego, nie znajdują przyjemności we własnym domu. **Inż. Z. Frenkiel.**



Sala jadalna w nowoczesnym samolocie.



Powyżej: Kabina pasażerska samolotu jest bodajże wygodniejszą niż przeciętne „coupé" w pociągu.





***Na lewo:** Wnętrze kabiny pasażerskiej jednego typu samolotu **Junkersa**. — **Poniżej:** Kabina zamieniona na „Sleeping".*



Na prawo: „Sleeping" nowoczesnego samolotu daje pełny komfort pasażerom.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY. JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 4 | Niedziela 24 stycznia 1937 | Rok III

ASY NUMERU 4-GO:



Fot. A. Wasilewski — Kraków.

Od chwili przyjazdu księżniczki Juljany holenderskiej i jej małżonka, księcia Bernarda do Krynicy, uwaga całego świata — można to śmiało powiedzieć — została skierowana na to jedno z najpiękniejszych naszych uzdrowisk podkarpackich. W ślad za dostojnymi gośćmi podążyli z całego kraju i zagranicy liczni narciarze, by na wspaniałych terenach Krynicy oddać się rozkoszom zimowych sportów. Nabiera to szczególniejszego znaczenia w obliczu zbliżających się Międzynarodowych Akademickich Zawodów Narciarskich, które tam się odbędą. Na zdjęciu: piękny plainer z okolicy Krynicy.

MUZEUM ZIEMI SANOCKIEJ

Muzeum Ziemi Sanockiej to najmłodsza, a zarazem bardzo cenna osobliwość Sanoka. Najmłodsza, bo nie przekroczyła jeszcze pełnych dwóch lat życia, a już rozrosła, samodzielna, zorganizowana w najdrobniejszych szczegółach.

W październiku 1934 r. zawiązuje się z inicjatywy ówczesnego starosty, dra Bolesława Skwarczyńskiego, Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Sanockiej. Ludzie dobrej woli, którym rozwój i znaczenie odwiecznej tej ziemi na sercu leżało, skupiając się w tem Towarzystwie do wspólnej pracy, wysuwają jako naczelne zadanie: budzenie w społeczeństwie zainteresowania dla badań nad przeszłością Ziemi Sanockiej, założenie i utrzymywanie Muzeum Z. S., popieranie wszystkich usiłowań zmierzających do rozwoju tej ziemi pod względem społecznym, gospodarczym i kulturalnym.

Myśl ta, rzucona wtenczas na posiedzeniu organizacyjnem, przyoblekła się natychmiast w kształty rzeczywiste, gdyż ówczesny burmistrz Sanoka, Tadeusz Malawski, deklaruje odrazu, na gorąco, jako zawiązek muzeum, wszystkie zabytkowe przedmioty przechowywane w archiwum miejskiem, a więc oryginalne dokumenty królewskie, dawne akta, rozporządzenia, odezwy, czasopisma, trochę starych monet i banknotów, kilka sztuk broni.



Powyżej: Zamek sanocki od strony Sanu. — Na lewo klasztor OO. Franciszkanów.



Na lewo: Jedna ze ścianzbrojowni z starymi półpancerzami z czasów bitwy Grunwaldzkiej.



Fragment sali Muzeum sanockiego, zawierającej rzeźby z XVI wieku.

Tak szczęśliwie zapoczątkowany żywot Muzeum rozwija się odtąd z dnia na dzień, a tempo jego rozrostu staje się wprost nieprawdopodobne. W ciągu kilku pierwszych miesięcy zdołano zgromadzić taką ilość eksponatów, że trzeba było poważnie pomyśleć o odpowiedniem pomieszczeniu ich.

Ministerstwo W. R. i O. P. przychyla się do prośby Towarzystwa P. Z. S. i zezwala zająć na Muzeum parterowe sale sanockiego zamku, które od jakiegoś już czasu stały pustką. Odnowiono więc pięć sal oraz piękny, długi korytarz i w nich pomieszczono zbiory, i już z dniem 11 kwietnia 1935 r. otwarto Muzeum dla szerszej publiczności.

A było się już czem pochwalić: liczba eksponatów przekraczała tysiąc!

Jedne się tam dostały dzięki ofiarności poszczególnych osób, rozbudzonej wymowną, a skuteczną zachętą dyrektora Muzeum dra Skwarczyńskiego, niektóre zakupiono za znikome pieniądze, przeważnie jednak zdobywano, odgrzebując je gdzieś na strychach i w zapomnianych kątach starych, wiejskich kościołków i cerkwi.

Niestrudzonymi poszukiwaczami i szperaczami byli młodzi akademicy sanoczanie, którym przewodził niezmordowany i zawsze czujny kustosz Muzeum, Stefan Rybicki. Doniósł ktoś, że w jakiejś wsi jest pamiątka stara, sprzęt zabytkowy, czy drobiazg godny ocalenia, i już tam jechał, badał, oglądał, pertraktował, nakłaniał, wreszcie zdobywał i z łupem wracał. To znów urządzał objazdy planowe, wielodniowe, od wsi do wsi, od cerkwi do cerkwi i dowiadywał się i wypytywał, a gdy coś wartościowego znalazł, zabiegał o to, targował, cel zbiórki tłumaczył.

Każdy tydzień, każdy niemal dzień przynosił coś nowego a ciekawego; często coś bardzo cennego; przeważnie z zakresu sztuki kościelnej czy cerkiewnej, czasem jakiś stary, cenny pergamin.

Sale zamkowe do niedawna puste wypełniały się coraz bardziej.

W zbrojowni gromadzi się wszelaki sprzęt wojenny. Rozwieszony na ścianach, rozstawiony na drewnianych kozłach, według wieku i pochodzenia, opowiada swoją odwieczną historję, zaczynając ją maczugą kolczastą i półpancerzem, które podobno grunwaldzkie pamiętają czasy.

W innej sali duże oszklone szafy zamknęły w sobie ułamek odległych, mrocznych tysiącleci, kiedyto nasz wytrwały, niczem niezrażony praszczur lata całe wysilał się, by zmusić twardy, oporny kamień do uległości. Kamienne siekierki, tłuczki, skrobacze dowodzą tego niezmordowanego wysiłku i nieugiętej woli. Jeden krok dalej i przekroczyliśmy lat tysiąc. Jesteśmy w epoce bronzu. „Bronzowy" człowiek odbiegł już daleko, daleko od swojego poprzednika z epoki kamiennej; pozostawił go gdzieś za sobą i już nie myśli doń wracać. Zapomniał o nim zupełnie. Tamten mu wskazał drogi, wprowadził go na nie, poduczył, żywot ułatwił, a ten już idzie śmielej w dalszą drogę, lżej, przystaje czasem, odpoczywa. A w chwilach wywczasów zabawia się w artystę. Wyszukał sobie kruszec wdzięczniejszy od kamienia, podatniejszy i nim się posługuje. Rozkazuje mu coraz odważniej, śmielej. Obrabia go jak chce, nagina, wyciska, tłoczy, poleruje. Posłuszny kruszec wychodzi z rąk swojego pana wygładzony, lśniący, o kształtach

Poniżej: Obraz malowany na szkle jest ciekawym zabytkiem sztuki ludowej z okolic Sanoka.



Rzeźba ludowa z Muzeum sanockiego



rozmaitych, wyszukanych, czasem misternych nawet. „Bronzowy“ człowiek w chwilach beztroskiego odpoczynku spojrzał uważniej, czulej na kobietę, a chcąc ją sobie ująć poświęcił jej swoją twórczą myśl i artystyczny wysiłek i dla niej wykonał pierwsze drobiazgi zbytkowe, ozdoby kobiece: pierwszą „biżuterję“. Stoją tu w szafie obok siebie bronzowe naczynia różnokształtne, urny-popielnice, łzawnice (może?), łace, ozdoby kobiece i t. p.

Wszystko to, 117 sztuk, to hojny dar dra Jana Woytkowskiego, długoletniego lekarza w Rymanowie-Zdroju.

Są tam też gabloty z monetami, pieczęciami, medalami, są gabloty z staremi dokumentami. Najdawniejszy z r. 1366. przywilej Kazimierza Wielkiego nadający Sanokowi, wolnemu królewskiemu miastu, prawo magdeburskie. Ten przywilej stanowił podstawę rozwoju Sanoka w dawnej Polsce.

Inna sala skupiła bogate zbiory sztuki kościelnej: stare haftowane ornaty, stare obrazy ścienne i ołtarzowe malowane na drzewie, małe obrazki drewniane — fragmenty ozdób „carskich wrót“ cerkiewnych, rzeźbione krzyże rozmaitych kształtów i różnej wielkości, drewniane monstrancje, któremi zastąpiono monstrancje z cennego kruszczu, gdy te z nakazu cesarza Austrji, Józefa II, zostały skonfiskowane i przetopione na rzecz skarbu państwa i t. p.

W innej znów sali odżył na świeżo w całej pełni i w całej swej krasie bogaty, barwny folklor tutejszych okolic górskich, który niestety od wojny światowej coraz bardziej zamiera.

Na szczęście udało się kustoszowi sanockiego muzeum zebrać kilkanaście oryginalnych kompletów łemkowskich i bojkowskich i te — jakkolwiek nie sięgają czasów zbyt odległych — stanowią bardzo cenną pozycję muzealną.

Tutaj wiszą na ścianach rzadkie już dzisiaj okazy sztuki ludowej plastycznej: obrazy malowane na szkle. Tutaj też zgromadzono ginący już dzisiaj prymitywny sprzęt domowy i gospodarski łemkowskiej wsi: skrzynie drewniane na przyodziewek, drewniany pług, jarzmo dla wołów, starodawny warsztat tkacki i t. p.

Długi jasny korytarz zamkowy tworzy piękną i bogatą galerję rzeźby ludowej. Wiszą tam na ścianach i stoją na drewnianych stojakach całe dziesiątki Chrystusów ukrzyżowanych, Chrystusów frasobliwych, świątków, aniołów, rzeźby Matki Bożej, a wszystko to niewybredne, prymitywne, tchnie jakąś przedziwną, wzruszającą naiwnością domorosłego „artysty“ wioskowego.

Jest jeszcze bibljoteka zawierająca około 500 pozycyj wydawnictw drukowanych, które o Sanoku i sanockiej ziemi traktują, albo których powstanie z Sanokiem jest związane. Są dzieła naukowe, są pisma perjodyczne, ulotki, afisze, są odezwy z czasów wielkiej wojny i odezwy Rady Narodowej z r. 1848 i t. p.

Obecny dorobek sanockiego muzeum przenosi 3.000 pozycyj, to też nic dziwnego, że goście sierpniowego Zjazdu Górskiego w Sanoku zwiedzając muzeum nie kryli swojego zdumienia i podziwu dla pracy i bezinteresowności pracowników.

Zadania Muzeum sanockiego nie kończą się jednak na gromadzeniu i powiększaniu zbiorów. Sięgają dalej.

W zamierzeniach najbliższych leży przeprowadzenie prac wykopaliskowych na terenie Ziemi Sanockiej, która niewątpliwie kryje w swojem łonie bezcenne skarby prehistorycznej kultury, o czem świadczą liczne kurhany i kopce.

Pracę swoją i swoją wiedzę fachową w tym względzie przyrzekł już profesor uniwersytetu lwowskiego, dr. Tadeusz Sulimierski oraz asystent archeologji inż. Stefan Żurowski.

Muzeum ma zamiar popierać, a nawet własnym kosztem wydawać prace naukowe dotyczące Sanoka i Sanockiej Ziemi. Ale jak na razie są to szczytne plany tylko, gdyż znikome fundusze Muzeum nie pozwalają przekroczyć granicy zamysłów i zamierzeń.

O tem zaś jak wielkie zainteresowanie budzi ono wśród społeczeństwa, niech świadczą liczby.

Od kwietnia do października 1935 r. zwiedziło Muzeum około 2.000 osób; w ciągu kilku dni Zjazdu Górskiego przesunęło się przez jego sale prawie 3.000; ogólną sumę osób oblicza się na przeszło 6.000, przyczem należy zauważyć, że w ciągu miesięcy zimowych Muzeum jest zamknięte dla publiczności.

Wśród zwiedzających były osoby z bliższych i z dalszych stron, było dużo młodzieży szkolnej i akademickiej, były grupy regjonalne ze wszystkich ziem górskich, a także i zagraniczni goście, z Czechosłowacji, Austrji, Niemiec i Francji.

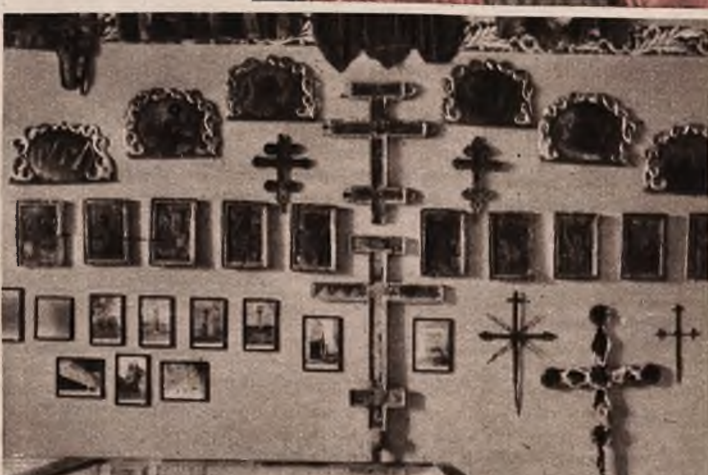
Edmund Słuszkiewicz.

Poniżej: Ludowy obraz malowany na szkle przedstawiający Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus.





Dział strojów ludowych Ziemi Sanockiej ciekawie ilustruje jej przeszłość.



Fragment sali sztuki cerkiewnej.

LUIGI PIRANDELLO — POETA WZGLĘDNOŚCI



Przy najbardziej wolnościowych hasłach największy ucisk ideowy, jaki kiedykolwiek istniał, przy skrajnej racjonalizacji życia wiara w rzeczy mętne i niewytłumaczone, przy wielkiej oświacie — dezorjentacja, jakiej doszukaćby się można chyba w średniowieczu..

— Tak, a przytem weź pod uwagę, że wszystkie nowoczesne wynalazki, ułatwienia komunikacji, telefon, radjo, samoloty, to wszystko tyleż czynników oddalających od siebie ludzi. Dziwny wiek! Dziwne czasy!

I tak zgadało się jakoś o Pirandellim. Ni stąd, ni zowąd, jakby to nazwisko łączyło się ściśle z naszą erą, jakby było jego wykwitem uzupełnieniem i nieodłącznym towarzyszem.

Mało kto umiał z tak iście rzymską jasnością myśli, z takiem wyzbyciem się nastręczającej się tak łatwo frazeologji poruszyć tematy wysoce zawiłe, skomplikowane i równocześnie zasadnicze: względność wartości, względność kąta widzenia, pod którym oglądamy świat i zagadnienie obłędu. To, co naukowo opracował ziomek Luigi Pirandella — Lombroso, na wiele lat przed innymi uczonymi, zagadnienie normalności i nienormalności ludzkiego umysłu, genjalny Włoch przetrawił, przerobił na swym „warsztacie" literackim, przelał pojęcia naukowe, ścisłe, w słowa żywe, polsujące krwią, przemawiające do człowieka, gdyż zajmujące się jego różnemi stanami duszy. Pirandello pozostał skąpym w słowa, mówił to, co potrzeba, i nic więcej, i co ciekawsze, nie wpadł w ten ton płaczliwości, beznadziejności i po części monotonji, który znajdujemy u autorów rosyjskich, omawiających podobne tematy. Nie omieszkaliby oni napewno wykorzystać tak np. podatnego tematu, jak obłęd bohatera w sztuce „Henryk IV", by wprowadzić uboczne, efektowne momenty. Pirandello ogląda swego bohatera, a raczej „przeżywa" go jak lekarz, obserwujący chorobę: notuje objawy, zastanawia się nad ich pochodzeniem i trzymając rękę na sercu pacjenta i na jego głowie, notuje wiele kresek wskazuje termometr obłędu. Ale to nie wszystko. to tylko podłoże służące do wysnucia swych ulubionych twierdzeń o względności rzeczy. Stare to twierdzenie, opisane, „oklepane", ale zawsze ciekawe, zawsze nowe, zawsze dające pole do innego ujęcia.

Pirandello to najbardziej niepokojący i najbardziej niespodziewany pisarz współczesny. Nigdy nie można wiedzieć, na jakie manowce, na jakie ścieżki wyprowadzi nas ten wielki człowiek, poczynający iść zwykłą utartą drogą, by wkrótce z niej zboczyć. Ale nie jest on tylko badaczem duszy ludzkiej, bada też technikę życia współczesnego (choćby w jednoaktówce, tłumaczonej na polskie „Dyplom") i dopatruje się w niej wielu mankamentów. Pirandello, to człowiek, który nie zaznał spokojnego snu i innym również go nie chciał użyczyć. Jakżeż straszne sytuacje życiowe tworzy autor, choć bynajmniej nie sztucznie, aby w nich przedstawić mechanikę życia, jego zasadzki, jego „wilcze doły"! Najbardziej znana sztuka „Henryk IV", to dzieje młodego, zamożnego człowieka, który popadłszy w przemijający obłęd, wyobraża sobie, że jest cesarzem niemieckm, a rodzina, chcąca go pozostawić w tym stanie, bo korzysta z jego majątku, urządza mu całą willę w stylu gotyckim, przybiera służbę w odpowiednie stroje i pozwala mu „spokojnie" dalej warjować. Ale przyszła chwila, której nikt nie przewidział: młody człowiek odzyskał zdrowe zmysły. Już byłby uściskał swych najbliższych z radości z powodu powrotu zdrowia, już byłby śmiał się do życia, gdy zauważa, jakie zmiany zaszły od chwili jego zachorzenia. Pierwszy raz jasno poznaje swoje otoczenie, widzi jego podłość, obrachowanie, chytrość. I choć Pirandello tego nie mówi sam, to jednak możnaby sformułować morał tej sztuki słowami: „Trzeba być warjatem, aby jasno poznać swe otoczenie! Co za paradoks, godny Oskara Wilde'a, Chestertona, czy Bernarda Shaw! Ale o ileż on przykrzejszy, o ileż tragiczniejszy, niż te, na któreby się oni zdobyć mogli. Albo w innej sztuce „Jest tak, jak się wam zdaje" daje nam Pirandello przekrój swych poglądów na rzeczy „rzeczywiste". Do małego miasta włoskiego sprowadza się pewien sędzia wraz z żoną i teściową. Poprzednio mieszkali w miejscowości zniszczonej wraz z całą ludnością strasznem trzęsieniem ziemi, z którego nikt poza nimi nie wyszedł żywy. Jedni twierdzą, że obecna jego żona jest jego drugą żoną, inni, że pierwszą, i ta sama niepewność istnieje co do osoby jego teściowej. Komentarze przeradzają się w plotki: wkońcu prezes sądu pyta się go o faktyczny stan rzeczy, a w pewien czas później również i teściowej. Odpowiedź sędziego jest inna, niż teściowej, przyczem obie strony wyjaśnienia drugiej tłumaczą tem, że uległa ona nerwowemu wstrząsowi podczas trzęsienia ziemi i nie zdaje sobie prawy z rzeczywistości. Zdezorjentowane w najwyższym stopniu towarzystwo miasteczka szuka prawdy u samej sędziny, która przecież najlepiej musi wiedzieć, czy jest pierwszą czy drugą żoną swego męża. W końcu trzeciego aktu wchodzi na scenę czarno ubrana kobieta i mówi „Wszyscy macie rację! Jest tak, jak się wam zdaje!". To jakby dopełnienie teorji względności Einsteina, jakby rozwinięcie jej w zakresie ducha i transponowanie z zakresu matematyki i fizyki w dziedzinę „prawdziwego" życia. Przypomina mi się jeszcze zakończenie innej sztuki, która również, choć innemi drogami, innym stylem, innemi sposobami dąży do tejże samej myśli, a mianowicie sztuka rosyjskiego pisarza Jewreinowa, zamieszkałego w bolszewji, lecz nie będącego bynajmniej wykwitem jej „kultury". W sztuce tej — „To, co najważniejsze" („Samoje gławnoje" pewien bogaty dziwak najmuje aktorów, którym każe grać różne role w życiu i wmawiać w różnych ludzi rzeczy najmniej prawdopodobne. Amant tej trupy rozkochuje w sobie starą, brzydką i głupią pannę, przekonując ją o swej miłości, artystka znów wmawia w starego dziwaka, że ma wielki talent malarski, czy pisarski itd. W ostatnim akcie aktorzy zdają sprawę swemu chlebodawcy z udania się ich pracy i stwierdzają, że odegrali swe role tak, jakby to była prawda. A wtedy pada ciężkie pytanie: „A co to jest prawda?" i zasłona spada. Na to pytanie niema odpowiedzi, ale można

jej szukać po rozwiązaniu długiego łańcucha myślowego. Obaj autorzy, a w pierwszym rzędzie oczywiście Luigi Pirandello, dalecy są od taniego „przewartościowywania“, jakie po wojnie światowej przeprowadzają liczni pisarze, politycy i agitatorzy, chcąc zohydzić dotychczasowy kulturalny dorobek świata cywilizowanego. Czyni on to nie dla reklamy, nie dla określonych celów, a „sine ira et studio“, mądrze, filozoficznie. Nic też dziwnego, że sposób jego pisania, ta „tournure d'idées“ Pirandella, ma już, jeżeli nie naśladowców, to uczniów. „Pirandellizm“ stał się nową pozycją w literaturze.

Jan Maleszewski.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Najnowsze znaczki łotewskie.

Szkoda, że brak miejsca nie pozwala nam zareprodukować bardzo pięknych francuskich znaczków dobroczynnych, które ukazały się nieco dawniej, a obecnie muszą ustąpić najnowszej serji łotewskiej. Podajemy tylko, że jak zwykle francuskie marki drukowane są stalorytem w pięknych kolorach. Przedstawiają słynnych mężów, jak Pasteur, Victor Hugo, Berlioz i Callot. Format znaczków, jak dla „Normandji“; wartości za 20+10 c, 40+10 c, 50+10 c i 1.50 fr + 50 c. Cena 4 sztuk wynosi około 1 zł., a dopłaty są wcale niskie, jedynie do sztuki za 1.50 fr. trzeba dodać o kilka groszy więcej. W ten sposób bezrobotni Francuzi otrzymali napewno sporo funduszów, a u nas zamiast postąpić tak samo, mamy tylko mnóstwo bezwartościowych nalepek na Pomoc Zimową. Krytyka tego rodzaju postępowania była na ustach wszystkich i do owego tematu powrócimy zapewne znowu za 9 miesięcy, kiedy „Pomoc zimowa 1937/8“ będzie w toku organizacji. Nawet nie zapewne, ale napewno, bo nie łudzimy się, aby tak szybko mógł minąć kryzys i bezrobocie.

Łotewska serja (ze zbioru p. St. Kadłuczki) składa się z 4-ch sztuk i wydaną została 26 grudnia w 50.000-nym nakładzie. Pod względem wykonania przedstawia się blado, druk płaski, a i motywy są nienadzwyczajne. Niemniej w przeciągu kilku dni wykupiono wszystkie egzemplarze i Biały Krzyż sporo na tem zyska. Barwy: 3 s. pomarańczowy, 10 s. zielony, 20 s. różowy, 35 s. niebieski. Format 2.5×3 cm. (Na życzenie jednego z Czytelników zamieszczać będziemy zawsze wymiary nowych znaczków, bo w ten sposób każdy zbieracz będzie sobie mógł wyznaczyć miejsce w albumie).

W. H.

ODPOWIEDZI REDAKCJI: P. Bohdan Przelaskowski. Znaczki Chęcin nigdy nie były oficjalnie wydane. Zasadniczo należy zbierać tylko znaczki wydane przez władze, mające pełne suwerenne prawa na danem terytorjum. Uznając więc w pełni znaczki Warszawy 1915/16, można jednak mieć zastrzeżenia co do Sosnowca, Zawiercia i coraz dalej idąc, do marek Przedboża, Żarek itp., fałszowanych później bezlitośnie. Format marki podajemy tak, że pierwsza cyfra oznacza podstawę. — P. M. Kościelniak, Łódź. Nieznaczne odchylenia w wymiarach znaczka zdarzają się zawsze, zwłaszcza przy druku wklęsłym. Szczególnie polskie znaczki nie odznaczały się dawniej precyzyjnością wykonania i wypadków podobnych do tego, jaki Pan podaje, było bezliku. Proszę powiadomić o swem odkryciu pismo Ikros w Białymstoku. Krakowski Klub Filatelist. zbiera się w czwartki po 1. i 15. w lokalu Szarotka, Plac W. Świętych, godz. 19—22.

TOSIA NOWICKA

O DZIEŃ — PRZED WIELKIEM JUTREM...



Primaballerina Opery Warszawskiej Tosia Nowicka.
Fot. Van Dyck Warszawa.

Tosia Nowicka, primaballerina warszawskiej Opery została zaangażowana do Hollywood. Odbyła już w Londynie próbne zdjęcia, które dały dodatni rezultat. Powróciwszy przed tygodniem do kraju, przywiozła artystka kontrakt z wytwórni „International Pictures Corporation", angażujący ją na pięć lat. Oto krótka prasowa wiadomość, która — nie należy w to wątpić — zelektryzowała nasz świat teatralny.

Piszemy z radością o tem niecodziennem bądź co bądź zdarzeniu, kierowani nietylko sympatją dla naszej czołowej tancerki. Chodzi tu o rzecz doniosłej wagi, miejsce, jakie dzięki polskiej sile artystycznej zdobyliśmy na terenie światowej stolicy filmu — Hollywood. Na tym nieprzeliczonym gwiezdnym firmamencie zabłysnęły dotychczas tylko dwa świetne polskie nazwiska — Pola Negri i Jan Kiepura. Obecnie sięga tam i młodziutka tancerka — Tosia Nowicka. Poza wiadomem „dziś", kryje się oczywiście bardzo nieznane „jutro" — niewątpimy jednak. iż talent panny Tosi i usilna praca pokonają trudności jej dalekiej drogi, i że artystka nie zawiedzie naszych nadziei, jakie w niej pokładamy.

* * *

W miłem, przytulnem mieszkaniu Tosi Nowickiej w Warszawie toczy się swobodna pogadanka na temat wyjazdu sympatycznej gospodyni na drugą stronę Atlantyku. Młodziutka pani domu z rozbrajającą szczerością opowiada nam o pierwszych wrażeniach z czasów, gdy toczyły się pertraktacje o jej angagement:

— Opowiadały mi osoby, które po kilka lat mieszkały w Hollywood — mówi artystka — jakie niezliczone ilości tancerek mieszkają tam stale. Wszystkie one są piękne, młode, cudownie zbudowane i doskonale tańczą. To też gdy zaproponowano mi wyjazd do jednej z tamtejszych wytwórni, przedewszystkiem krzyknęłam: pocóż w takim razie ja mam tam jechać? Dlaczegóż żadna z tamtych tancerek nie awansuje na „gwiazdę", lecz mimo swych zdolności zawsze pozostać musi bezimienną girl?

— Wreszcie — opowiada dalej panna Tosia — wyjaśniono mi tę tajemnicę. Jest to specjalna polityka wytwórni filmowych. Kandydatki na czołowe role muszą być wyszukiwane daleko, w szerokim świecie. W ich pochodzeniu, narodowości musi być coś — według pojęć amerykańskich — egzotycznego. Twierdzą, że takie artystki można łatwiej zareklamować. Historja z Kopciuszkiem, wybranym z grona bezimiennych girls i przemienionym w gwiazdę, niestety już „nie bierze" publiczności amerykańskiej.

— A jakże wogóle się „wszystko zaczęło" — pytamy ciekawie. — Jak to było „od początku"?

— Było więc tak — opowiada panna Tosia, prawdopodobnie już nie po raz pierwszy. — Mój wyjazd do Hollywood nie jest czemś oderwanem, samoistnem. Wiąże się ta sprawa w bardzo dziwny sposób z wielką akcją wyjazdu polskich sił artystycznych zagranicę, a szczególnie do Stanów Zjednoczonych, wyjazdu, przygotowanego obecnie przez dzielną i energiczną artystkę Halinę Bruczówną. Bruczówna już kilka lat temu porzuciła polską scenę i przeniosła się do Ameryki. Cztery lata mieszkała w Hollywood i nawiązała tam znajomości z producentami filmowemi. Obecnie organizuje wielkie tournée po Europie i po Stanach Zjednoczonych z polskim baletem. Będzie wystawiać balety: Kupała, Pan Twardowski, pieśni Szopena. Na to tournée pragnęła zaangażować mnie; posiadała moje fotografje, które pokazała jednemu z dyrektorów Wytwórni International Pictures Corporation. Wytwórnia ta będzie częściowo finansować imprezę Bruczówny. Dyrektor się mną zainteresował, polecił przedstawicielowi swemu w Polsce odwiedzić mnie, wziąć kilka innych fotosów, a następnie zaprosił mnie do swej filji w Londynie dla próbnych zdjęć. No i tak... — kończy Tosia Nowicka.

Dokończenie na str. 31-ej





Dwa tańce orjentalne w wykonaniu Tosi Nowickiej.
Fot. Van Dyck — Warszawa.



ANNA DUDEVANT **NOWELA**

ZŁOTY PUHAR

— Nie każdy miewa sny prorocze — rzekł z przekąsem skulony w fotelu mężczyzna.

— I nie każdy umie wyciągnąć z nich korzyści — dodał jegomość, usposobiony sceptycznie.

— Nie opowiadam bajek — rzekła z odcieniem urazy pani w żałobie. — I powtarzam, że tylko sennemu widzeniu zawdzięczam ocalenie życia.

Nastała chwila milczenia, dowodzącego, że zebrane towarzystwo jest trochę innego zdania. Zanosiło się na jałowy spór, który unicestwiły w zarodku słowa gościa, siedzącego na uboczu — Jeśli mowa o snach i ich wpływie na życie codzienne — rzekł — to mógłbym przytoczyć fakt, przemawiający za twierdzeniem pani. Wstęp do krainy marzeń jest nam wprawdzie wzbroniony, ale czasami opada zasłona, oddzielająca rzeczywistość od złudy i wtedy można widzieć dziwne rzeczy...

Uśmiechnął się melancholijnie.

— Twierdzą, że człowiek zużytkowuje we śnie pewne wrażenia słuchowe i uzgadnia je z treścią swych rojeń... Być może. Ale w moim wypadku rolę łącznika między marzeniem a prawdą, między snem a rzeczywistością, odegrał przedmiot martwy, znajdujący się przypadkowo w mojem posiadaniu.

Strząsnął popiół z papierosa. — Właściwie chodzi tu o serję snów. Znacie państwo ten rodzaj marzeń, które pozostają w ścisłym, chociaż nieokreślonym związku z zapomnianemi zupełnie przeżyciami lub rojeniami w przeszłości... Człowiek śni o czemś, co mu nie jest obce, co zna już z snów dawniejszych i nawiązuje w swych marzeniach do pewnych epizodów, o których sobie teraz przypomniał... Odnosi wrażenie, że sen jego jest dalszym ciągiem jakiejś fantastycznej historji, w której on odgrywa główną rolę. I rolę tę gra dalej aż do nieprzewidzianego zakończenia... Śniłem w ten sposób kilkakrotnie i zawsze byłem ośrodkiem sennego marzenia. W danym wypadku jednak głównym przedmiotem, wokół którego grupowały się poszczególne sceny moich marzeń sennych, był... puhar, złoty puhar.

Krząknął i mówił dalej, jakby usprawiedliwiając się:

— Wiecie państwo, że mam zamiłowanie do antyków. Zbieram stare meble, stare obrazy, starą biżuterję... Zbiory moje przedstawiają dziś już dużą wartość. Nauczyłem się odróżniać plewy od ziarna i nikt mnie nie nabierze na falsyfikaty... Otóż, kiedy zobaczyłem ów puhar..

— Stary puhar — przerwała z znaczącym gestem pani w żałobie.

— Tak, to był puhar staroświeckiej roboty — mówił dalej gość, siedzący w kącie pokoju. — Należał on, jak mi opowiadano, do kolekcji barona Ortyłły i po jego śmierci został sprzedany na licytacji. Znalazłem go u handlarza starzyzny przy ulicy Złotej. Był to ciężki, grubo złocony kielich na szerokiej podstawce. Raczej duży kubek, niż puhar, bez ozdób, bez inicjałów i napisów. Jedynym upiększającym go szczegółem była złota obrączka, otaczająca kielich, jak branzoleta rękę kobiety i cztery osadzone w niej różnobarwne, sztuczne kamienie. Bezsprzecznie jednak ładne cacko. Zapaliłem się do niego i mimo stosunkowo wysokiej ceny, kupiłem go po dłuższym targu...

— W ten sposób zaczynają się wszystkie nieprawdopodobne historje — mruknął jegomość sceptycznie usposobiony. — Jestem pewny, że od chwili, kiedy stary puhar znalazł się w pańskim domu, zaczęły się w nim dziać dziwne rzeczy.

— Stary puhar zajął należne sobie miejsce w moim domu — rzekł zbieracz starożytności, wzruszając ramionami. — Ale spokój w nim nie został zakłócony. Prawdę mówiąc, zapomniałem wkrótce o tym narybku pochłonięty pracą zawodową. I dopiero w szereg miesięcy później zwróciłem na niego uwagę w związku z przypadkowem odkryciem, jakie zrobiłem, poddając puhar dokładnym oględzinom z okazji jego odczyszczenia...

— Wspominałem już — podjął wątek opowiadania — że na kielichu widniały cztery kamienie w złotej oprawie, umieszczone w czterech miejscach wzmacniającej go obrączki. Sterczały one ponad gładką powierzchnią metalu tak, że palce trzymającej puhar ręki musiały mimowoli opierać się na jednym z nich. W pewnej chwili, kiedy ścisnąłem kielich silniej w dłoni, zauważyłem, że jeden z kamieni ustępuje pod naporem i równocześnie wydało mi się, że słyszę cichy zgrzyt. Spojrzawszy na kubek, zauważyłem ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, że w dnie jego utworzyła się szczelina, przez którą można było włożyć palec. Kubek miał podwójne dno.

— To ciekawe! — wtrąciła pani w żałobie. — A skrytka była pusta?

— Tak... Puhar nie zawierał żadnego płynu — odpowiedział zbieracz starożytności. — Muszę jednak przyznać, że kiedy w pewien czas potem oddałem do chemicznej analizy osad, znaleziony na drugiem, właściwem dnie, w głębi kielicha, okazało się, że był to arszenik.

— A więc trucizna! — odezwał się jegomość, usposobiony sceptycznie — Wiedziałem, że tak będzie.

— Dno zamykało się, kiedy cofnięto palec, który naciskał na jeden z kamieni — mówił dalej gość, siedzący w kącie pokoju, jakby nie słyszał złośliwych słów sceptyka. I wtedy nic nie uprawniało do przypuszczenia, że wewnątrz kielicha znajduje się przestrzeń pusta. Zresztą, przestrzeń ta była w owym czasie dosłownie pustą, gdyż usiłowania moje, aby coś wylać względnie wytrząsnąć z znalezionej skrytki, spełzły na niczem. Wspominam o tem tylko dlatego, aby stwierdzić, że widok kielicha nie mógł ani poruszyć mnie do głębi, ani przemówić do mej wyobraźni. Analizę osadu, o której mówiłem, wykonano znacznie później. Wówczas stwierdziłem tylko, że kielich ma dno podwójne i że silny ucisk na jeden z kamieni otwiera skrytkę w jego głębi. Nie wątpię, że poprzestałbym na tem, gdyby nie... Ale przystąpię do rzeczy.

— Było to w dwa lata po kupieniu kielicha. Przebyłem w owym czasie ciężką chorobę, która o mało co nie skończyła się katastrofalnie. Rzec mogę, że organizm mój zmógł ją resztkami sił, to też okres rekonwalescencji przedłużał się z tygodnia na tydzień. Wobec zupełnego wyczerpania, nerwy moje były igraszką wszelakich bodźców zewnętrznych i wewnętrznych, utrzymujących mnie w stanie ciągłego rozdrażnienia. Najokropniejsze były noce. Leżałem na łóżku nie mogąc zmrużyć oczu, a kiedy przyszedł sen, zwidywały mi się najrozmaitsze zmory. Widziadła te, zrazu występujące chaotycznie, zaczęły zczasem tworzyć sceny i obrazy, które pozostawały w ścisłym związku z mojemi przeżyciami. Tak mi się przynajmniej zdawało... Pod koniec tego okresu dziwnego nerwowego napięcia wystąpiła serja snów o niezwykłej wyrazistości, może jedynych snów, które nie zatraciły się w mojej pamięci. I w snach tych zawsze odgrywał rolę złoty puhar, włączony przed dwoma laty do moich zbiorów.

— Jaki był początek owych snów, niestety podać nie mogę. To pewne jednak, że scena, o której opowiem, nie była pierwszą... Ale miała znaczenie jakby prologu do rozgrywającego się sennego widowiska...

— Znalazłem się nagle w małej, źle oświetlonej izbie, w której siedział zgarbiony pod brzemieniem lat starzec. Z uśmiechem niezdecydowania na twarzy wpatrywał się w stojący przed nim na szafeczce złoty przedmiot, którym był znany mi dobrze puhar o podwójnem dnie. Na puhar ten spoglądał także drugi mężczyzna, w stroju włoskim, który szeptał coś do ucha starcowi, jakby chciał rozproszyć budzące się w duszy jego wątpliwości. Rozmawiali ze sobą półgłosem i chociaż słowa ich były dla mnie niezrozu-

miałe, wiedziałem, że dobijają targu. Wiedziałem także, że jestem u złotnika, który wykonał na zamówienie precyzyjną robotę, wykończył bowiem puhar z umieszczoną w jego wnętrzu skrytką. W pewnej chwili cudzoziemiec wziął do ręki znany mi dobrze kielich i sprawdził, czy mechanizm, otwierający dno, działa sprawnie. Widocznie próba wypadła po jego myśli, gdyż wyjął z zanadrza garść dukatów i rzucił je na stół. Starzec wyciągnął po nie rękę. Twarz jego rozjaśniła się. Skinął głową. Mężczyzna w włoskim stroju wziął kielich i owinął go w kawał sukna, widocznie już uprzednio przygotowany...

— Nie pomnę, co stało się później, gdyż zbudziłem się nagle. Ale, rzecz ciekawa, opisany przeze mnie epizod tworzył widocznie w mojem pojęciu zamkniętą w sobie całość, gdyż nie miałem wrażenia, że mi sen przerwano

— I na tem koniec? — zapytała dama w żałobie tonem pełnym rozczarowania.

— Nie, łaskawa pani — rzekł zbieracz starożytności. — Raczej dopiero początek. Nazajutrz śniłem znowu o puharze i sen ten był, jakby dalszym ciągiem wrażeń, przeżytych w marzeniu poprzedniej nocy. Tym razem scenerja była jednak zupełnie inna. — Spoglądałem wgłąb wielkiej komnaty, o ścianach pokrytych jedwabnemi oponami w kwieciste wzory, z oknem wychodzącem na rzekę. Kobieta w średnim wieku, o energicznych rysach twarzy i czarnych, rozumnych oczach, wydawała jakieś rozkazy dwom młodym niewiastom, które słuchały jej w pełnej pokory postawie. Podkreślić muszę, że zarówno osoby tego dramatu, jak i ich otoczenie, wydały mi się jakby odbiciem z starego, wyblakłego obrazu. Wiedziałem, że to, na co patrzę, zdarzyło się już dziesiątki, a nawet setki lat wstecz i że w rozgrywającym się przede mną epizodzie jestem tylko widzem, a nie stroną działającą. Starsza kobieta dała znak ręką. Dwie panny zwróciły się ku drzwiom i zniknęły za osłaniającą je kotarą. W tej chwili otworzyły się drugie drzwi w przeciwnym końcu sali i zjawił się Włoch, znany mi już ze snu poprzedniego. Tym razem wzbudził we mnie antypatję. Na ustach jego igrał cyniczny uśmiech, a cała postać wyrażała głębokie zadowolenie z siebie. Kobieta spojrzała na niego wzrokiem pytającym Skłonił się i wręczył swej rozkazodawczyni przedmiot zawinięty w sukno. Był to puhar... puhar o podwójnem dnie, wykonany na jego zlecenie u zaufanego złotnika. Zaczęli rozmawiać z sobą i rozmawiali długo. Nie mogłem ich zrozumieć, ale gesty tłumaczyły wiele. Włoch śledził bacznie grę rysów na twarzy kobiety, dumnej i pięknej, mimo zmarszczek w kącikach ust i na skroni, jakby oczekiwał z upragnieniem zlecenia, które rozwiązywało mu ręce. A ona wahała się... wahała ciągle. W pewnej chwili ujęła w dłoń puhar... Mężczyzna w stroju włoskim szepnął kilka słów objaśnienia. Spojrzała w głąb kielicha i palce jej spoczęły na upiększających go imitacjach drogich kamieni. Kiedy znowu podniosła oczy, była już nawpół zdecydowana. Na ustach jej pojawił się złośliwy uśmiech, a ręce zacisnęły się na podstawce puharu Zmierzyła towarzysza wzrokiem, w którym wyczytał milczące przyzwolenie.

Nagle za kotarą, u wejścia do komnaty, usłyszałem jakieś głosy. Przestraszony Włoch chwycił za kielich, zawinął go w sukno i złożywszy swej pani dworski ukłon, zniknął za drzwiami w głębi. Wymknął się w samą porę, gdyż w tej chwili stanął na progu komnaty młody mężczyzna, o miłej, sympatycznej twarzy, z włosami i krótką brodą, przyciętą z cudzoziemska. Przybrany był w obcisły strój hiszpański, a na piersi jego widniał złoty łańcuch. Tuż za nim weszło dwóch paziów, którzy zatrzymali się na progu komnaty Na widok przybysza twarz starszej kobiety wypogodziła się. Wyciągnęła do niego ręce, a kiedy podszedł bliżej, złożyła na jego czole pocałunek...

I w tej chwili sen mój zakończył się nagle. To przejeżdżający pod oknami ciężki wóz zbudził mnie swoim turkotem. Łączność z krainą marzeń została zerwana...

— Dwa sny, o których wspominałem — mówił dalej zbieracz starożytności — były jakby przygotowawczemi epizodami do wielkiego dramatycznego obrazu, który rozegrał się w moich marzeniach w pewien czas później. Zapewne zwróciłem już uwagę, że cechą wspólną wszystkich tych fragmentów sennych był ich luźny związek z moją osobą. W tym ostatnim, niezwykle plastycznym obrazie, wczuwałem się może więcej w sytuację i rozumiałem lepiej poczynania otaczających mnie postaci, ale nie brałem również udziału w żadnej ze scen sennego widowiska. Patrzyłem na to wszystko, jak si patrzy na lalki woskowe, odtwarzające jakieś ciekawe, historyczne fakty. Tylko, że lalki te poruszały się i mówiły. Były żywe i w życie ich nie wątpiłem ani chwili...

— Zaczęło się to zupełnie niespodzianie. Ujrzałem nagle orszak jezdnych, towarzyszący dwom wspaniałym kolasom, które zmierzały w stronę wielkiego zamczyska. Bogate stroje jeźdźców swoboda, z jaką się poruszali, roześmiane twarze i zupełna pewność siebie świadczyły, że nie jest to żadna wyprawa rycerska. Widok pysznych rumaków i ich uprzęży, niecodzienne szaty i broń, lśniąca złotem i klejnotami pouczyły mnie, że ludzie ci zdążają na jakąś uroczystość i że chcą wystąpić na niej z całą okazałością. Na przodzie jechało dwóch zbrojnych, którzy wysunęli się właśnie na czoło orszaku. W tej chwili mężczyzna rozmawiał z ukrytą w kolasie niewiastą, wyprostował się na koniu i skinął ręką. Jadący za nim towarzysze skupili się i uszeregowali. Cały poczet ruszył teraz zwolna w stronę zamczyska, przed którym zebrał się tłum ludzi, zdających się oczekiwać na przybycie gości.

Kiedy orszak jezdnych zbliżył się do zamku, z tłumu wystąpił rosły mężczyzna w wspaniałym, karmazynowym stroju, biorąc z rąk pachołka złocistą tacę z wielkim bochenkiem chleba. Lśniący od złota i czerwieni poczet panów, otaczających kolasy, zatrzymał się, a na czoło jego wyjechało czterech trębaczy w białych sukniach, przetykanych srebrem, którzy podnieśli do ust długie prawie na dwa łokcie trąby, przybrane wstęgami amarantowemi i zagrali hejnał. Mężczyzna o twarzy dumnej, patrzącej siłą i wolą nieugiętą, który dotąd jechał obok pierwszej kolasy, zsiadł z konia. Podbiegło dwóch pachołków, aby odprowadzić wierzchowca na stronę. Równocześnie zaczęli zeskakiwać z koni i inni panowie, przybrani w czerwień i złotogłów. Kolasy zatrzymały się. Z pierwszej wysiadła młoda i piękna kobieta, darząc uśmiechem przybranego w szubę mężczyznę, który dotąd jechał przy jej boku i który podszedł teraz do niej, podając dłoń. Tuż za nią ukazała się starsza niewiasta, z wdowim kwefem na głowie, który otaczał jej twarz i osłaniał szyję. Z drugiej kolasy wysiadło kilka młodych dziewcząt, widocznie panien dworskich, gdyż zatrzymały się one w pewnej odległości, jakby czekając na rozkazy. Dumny pan w szubie i towarzyszka jego wyszli naprzeciw karmazyna, niosącego tacę z bochnem chleba....

I nagle znalazłem się w sklepionej, mrocznej sali, w obliczu dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Włoch, którego widziałem już w snach poprzednich, drugim zażywny osobnik, przybrany w ciemną opończę. Człowiek ten trzymał w ręku znany mi dobrze puhar z podwójnym dnem, porównując go z szeregiem innych puharów, podobnego kształtu i wielkości, które wydobywał z dużej, dębowej szafy w kącie sali. Zrozumiałem, że puhar o dnie, otwierającem się przy naciśnięciu sztucznych kamieni oprawy, zrobiony był w określonym celu według wzorów, jakie widziałem teraz w rękach człowieka w ciemnej opończy. Włoch mrugnął na niego porozumiewawczo i wydobył z zanadrza sporą kiesę Ale nie wręczył jej towarzyszowi. W chwili, gdy ten chciał ją pochwycić w drżące palce, cudzoziemiec uśmiechnął się i drugą ręką wydobył z kieszeni mały flakon z ciemnego szkła, który podniósł w górę.

— Trucizna! — przerwał gość, usposobiony sceptycznie. — Sądzę, że tym razem nie omyliłem się.

— Człowiek w ciemnej opończy pobladł, ale ręki nie cofnął — mówił dalej zbieracz starożytności. — Chwycił za flakon, otworzył go i ująwszy w drugą rękę puhar z podwójnem dnem, wylał do niego jego zawartość. Włoch przyglądał się mu przez chwilę wzrokiem badawczym, a kiedy tamten przechylił kielich, okazało się, że płyn pozostał w jego głębi. Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie znacząco. Na stół padła kiesa, przyniesiona przez cudzoziemca.....

Opowiadający umilkł na chwilę, sięgając po drugiego papierosa. Zapalił go i mówił dalej tonem dydaktycznym:

— W moich marzeniach w tem miejscu jest znów pewna luka, gdyż następny obraz, jaki ujrzałem we śnie, rozgrywał się w obszernej sali, o posadzce z kamiennych tafli i strepie z ciosanych belek dębowych. Naprzeciw wielkich drzwi, ujętych w rzeźbiony portal marmurowy, przy stole, uginającym się od srebrnych półmisków, pełnych najrozmaitszego mięsiwa, siedziało kilkadziesiąt osób, tocząc ożywioną rozmowę. Byli to, jak wnioskowałem, rycerze i dstojnicy, dworzanie i szlachta, zebrani dla zamanifestowania swej radości z okazji wielkiego święta na zamku. Na ławach, krytych wzorzystemi kobiercami, siedziały także niewiasty, w szatach o różnych wzorach, obsypane klejnotami, które upodabniały je do cudownych obrazów, mieniących się jaskrawemi barwami. Na podwyższeniu między dwoma oknami, oszklonemi gomółkami, oprawnemi w ołów, umieszczono muzykantów, których bębny, piszczałki, trąby, fujary, dżele, szałamaje i sztorty tworzyły akompanjament do chrzęstu szablic, pobrzęku kielichów i śmiechu rozbawionych gości. Na naczelnem miejscu, w środku stołu zasiadły znane mi już osoby, mężczyzna z wąsami i ściętą w klin brodą, o dumnym, ale miłym wyrazie twarzy, a po obu jego stronach młoda kobieta z pierwszej kolasy i starsza dama w kwefie wdowim, którą już dawniej widziałem w poufnej rozmowie z tajemniczym Włochem, kiedy składał jej sprawozdanie z swej bytności u złotnika. Młoda kobieta, siedząca po prawej stronie mężczyzny w czarnym stroju jedwabnym, z łańcuchem na szyi, spoglądała z niewysłowioną słodyczą w twarz swego towarzysza, ilekroć zwrócił się do niej z jakiemś zapytaniem. Jej oczy błękitne, duże, szeroko rozwarte, świeciły niezwykłym blaskiem pod wąskiemi łukami brwi. W swej białej, atłasowej, przybranej perłami sukni, wyglądała, jak nieziemskie zjawisko. To też biesiadnicy patrzyli na nią z niekłamanym podziwem. Tylko twarz kobiety w czarnym wdowim kwefie zwracała się od czasu do czasu ku pięknej pani z wyrazem tłumionej nienawiści, a nieznaczne skrzywienie jej ust wyrażało niemą groźbę. Uczta była w całej pełni.

Nagle siedzący nawprost głównych postaci obrazu strojny karmazyn, który przedtem witał u wrót zamczyska dostojnych gości chlebem i solą, skinął na podczaszego... Był nim człowiek w ciemnej opończy, który niedawno otrzymał z ust Włocha tajemnicze zlecenie. Karmazyn powstał i zwrócił się z jakiemś zapytaniem do mężczyzny z łańcuchem na szyi. Ten kiwnął głową. W tej chwili podczaszy postawił przed obiema jego towarzyszkami, które dotąd nie umoczyły ust w winie, dwa złote puhary. Zdawało mi się, że oczy damy w czerni i podczaszego w ciemnej opończy skrzyżowały się... Służba wniosła dzbany. Podczaszy ujął w ręke kielich, stojący przed młodą kobietą w białej, atłasowej sukni i napełnił go. Potem w ten sam sposób napełnił kielich damy w wdo-

wim kwefie. Wiedziałem, że teraz dokonuje się rzecz straszna. Wino ze dzbana zmieszało się z płynem, ukrytym w głębi puharu, stojącego przed młodą kobietą, gdyż podczaszy, naciskając na kamienie kielicha, otworzył na kilka sekund podwójne dno....

Karmazyn, będący tu widocznie gospodarzem, wniósł toast w ręce towarzyszki mężczyzny z łańcuchem na szyi. Podziękowała mu z uśmiechem. Wszyscy powstali i spełnili toast, wśród radosnych okrzyków, którym wtórowała fanfara muzykantów na wzniesieniu. Piękna kobieta z błękitnemi oczami wychyliła puhar również... Śledziłem grę uczuć na jej twarzy, która wyrażała teraz głębokie wzruszenie. W chwili opuściła kielich, jakby znajdujący się w nim napój wydał się gorzki i niesmaczny, ale widząc zdziwione spojrzenia, podniosła go do ust znowu. Tymczasem towarzysz jej dziękował karmazynowi wśród pełnego czci milczenia zebranych. I wtedy do uszu moich doleciały oderwane słowa, wypowiedziane po łacinie: rex, uxor, regina — jedyne słowa, jakie zrozumiałem z przemowy mężczyzny, zajmującego naczelne miejsce przy stole. Kiedy skończył, odezwały się znów głośne krzyki zadowolenia. Ruchoma fala mężów i niewiast zasłoniła teraz przed moimi oczami młodą parę, która przyjmowała z uśmiechem hołdy wiwatujących na jej cześć gości. Spojrzałem w kąt sali. Stał tam powiernik damy w czarnym, wdowim stroju, mężczyzna w włoskim ubiorze, który z zagadkowym wyrazem twarzy przyglądał się tej radosnej scenie. Złowroga, milcząca postać....

— Oprzytomniałem... I zaraz po przebudzeniu ogarnął mnie dziwny żal. Żal mi było tej pięknej, młodej kobiety, jakby stworzonej do szczęścia i miłości, a której w chwili triumfu podano zabójczą truciznę. I prawdę mówiąc, wspomnienie jej budzi dotąd w mem sercu tkliwość i rozrzewnienie. Lata całe minęły od mego widzenia — za takie bowiem muszę uważać mój niezwykły sen — a ja wciąż łudzę się, że to jeszcze nie koniec... że zobaczę znowu tę piękną, niebiańską twarz, te duże, pełne blasku oczy... I dowiem się czegoś więcej o dalszych losach bohaterów mego sennego widowiska.

— A nie wie pan — zapytała dama w żałobie, przysłuchująca się z zapartym oddechem opowiadaniu — co miał przedstawiać pański sen. Kim były występujące w nim osobistości?

— Odpowiedź na to dał mi prosty przypadek — rzekł zbieracz starożytności. — Pewnego razu wpadło mi w rękę zdjęcie zamku w Wiśniczu, którego dotąd nie znałem. To był zamek, na którym rozegrały się ostatnie obrazy tego dziwnego snu. Poznałem go na pierwszy rzut oka. Nie trudno już potem było powiązać ze sobą fakty. Sen mój przedstawiał ucztę, wydaną przez Piotra Kmitę, wojewodę krakowskiego na cześć Zygmunta Augusta i jego żony Barbary, w czasie której podano przyszłej królowej truciznę. Legenda głosi, że otruto ją na rozkaz matki króla, Bony...

— Tak głosi legenda — rzekł z przekąsem gość, usposobiony sceptycznie. — Ale dziś wiemy, że to wierutna bajka. Barbara Radziwiłłówna umarła....

— Jest pan doprawdy niemożliwy — przerwała dama w żałobie. — Jakolwiek się sprawa ma, opowiedziany nam sen musi budzić głębokie zainteresowanie. Złoty puhar, który dał pobudkę do niezwykłych tych marzeń, ma wartość nieocenioną, przedstawia bowiem pewien problem, nierozwiązaną zagadkę...

— Wszelkie komentarze byłyby nie na czasie — rzekł skulony w fotelu mężczyzna. Burzenie legend przyprawia zawsze o rozczarowanie. Co do mnie, wolę piękne kłamstwo od brzydkiej prawdy...

— I ja jestem tego zdania — rzekł milczący dotąd staruszek z ręką na temblaku. — Dlatego proponuję nazwanie tajemniczego kielicha puharem królowej Barbary. Brzmi to ładnie i obiecująco.

— I broni czasem przed gołosłownemi zarzutami — dodała dama w czerwieni, obrzucając sceptyka niechętnem spojrzeniem. Ten popatrzył na nią zpodełba. — Mundus vult decipi — mruknął z goryczą.

I machnął ręką.

KONIEC



HOLANDJA

RAJ ŁYŻWIARZY

Nasza znajomość Holandji ogranicza się zazwyczaj tylko do jednej strony: obrazy, które nam stają w pamięci, odnoszą się tylko do lata, względnie wiosny, lub jesieni, natomiast bardzo mało albo nic nie wiemy o życiu zimowem kraju tysiąca kanałów. Nic w tem dziwnego zresztą, gdyż właśnie lato daje tyle efektownych obrazów w Holandji, że one właśnie utkwiły nam w pamięci.

A więc przedewszystkiem jadąc koleją, widzimy na horyzoncie jakieś olbrzymie ręce, poruszające się jednostajnie: to słynne wiatraki holenderskie, spotykane nietylko na obrazach mistrzów niderlandzkich, ale istniejące naprawdę po dziś dzień. Przecież żaden kraj nie posiada tyle wody, ujętej w niezliczone kanały, przerzynające całe królestwo, jak właśnie Holandja. Drugi najbardziej frapujący nas obraz, to olbrzymie pola tulipanowe, a więc przedewszystkiem Harlem! Mają one swój odpowiednik chyba jedynie w Bułgarji, lub też na południu Francji w okolicy Grasse. Oczywiście, że najbardziej uroczą asocjację myślową tworzą czepki pięknych Holenderek, oraz saboty, które obuwają nieraz równie piękne nóżki jakie widzimy w jedwabnych pantofelkach. Ale to wszystko jest Holandja „na ciepło"!



Królowa Wilhelmina wraz z małżonkiem ks. Henrykiem i córką ks. Juljaną na wycieczce łyżwiarskiej, według współczesnego rys.

Holandja zimowa wygląda inaczej. Mało stosunkowo jest znanym fakt, że żaden naród nie może współzawodniczyć z Holendrami w jeździe na łyżwach i .. — holendrowaniu! Nic w tem dziwnego: liczne kanały zamarzają w zimie i stanowią nietylko wymarzoną ślizgawkę, ale również najdogodniejszą komunikację „lądową". Niema Holendra, któryby nie był mistrzem ślizgawki: zacząwszy od chłopa, inteligenta, bogatych przemysłowców, a skończywszy na samej królowej i jej córce, wszyscy uprawiają z zamiłowaniem ten piękny sport, który często gęsto jest tam koniecznością życiową. Odpowiednikiem tego sportu zimowego jest w lecie jeżdżenie na rowerze, mające również swoich licznych adeptów. Przecież widzieliśmy już nieraz zdjęcia królowej Wilhelminy i ks. Juljany, jadących poważnie na metalowym pegazie!

Tak w Anglji popularny „week-end", który odbywa się autem, przybrał w Holandji postać wycieczki na łyżwach, w której biorą udział niezliczone rodziny miast i wsi. Wspa-

niale utrzymane kanały, zamarznięte na „kość", są wspaniałym terenem takich wycieczek. Ale praktyczni Holendrzy pomyśleli też o rozgrzewce dla licznych uczestników tego sportu. Oto buduje się wzdłuż kanałów ogrzewane namioty, gdzie można dostać świetną czekoladę i ciastka, z których chętnie korzystają łyżwiarze. Te namioty zwane „koek en zoopje" nadają się świetnie do flirtu, to też noszą (nieoficjalnie!) nazwę „domków flirtu"! Nie można zapomnieć o tem, że u wysoce na pozory zważających Holendrów jedynie na lodzie pękają lody... wobec płci pięknej! Dziwny to fenomen natury, że mróz budzi ciepło serca, ale tak już jest! Ogólnie jest przyjętem, że podczas ślizgawki może młody człowiek zbliżyć się do nieznajomej panny, poprosić ją o jedno „okrążenie", a następnie zaprowadzić na czekoladę do takiego namiotu.

Na prawo. W sporcie narodowym celuje również królowa Wilhelmina i córka jej ks. Juljana.



Niezliczone anegdotki i opowiastki krążą na temat zdolności łyżwiarskich Holendrów. Sięgają one nieraz dawnych bardzo czasów i są nadwyraz charakterystyczne dla kraju tego i jego ludu. Jedna z nich, nie pozbawiona pewnego uroku naiwności, jest następująca: Pewnego razu stwierdziła żona chłopa holenderskiego, Sjouke Boukmana, że zabrakło w domu soli, a właśnie była w trakcie gotowania obiadu i przyrządzania ulubionej grochówki. Mąż, siedzący z fajeczką przy kominku, dowiedziawszy się o braku w gospodarstwie domowem, postanowił natychmiast wyruszyć na łyżwach do najbliższego miasteczka po sól. Ale niestety do Leeuwarden i z powrotem było niemniej jak półtorej godziny drogi. Sjouke Boukma nie przestraszył się tej odległości i wyruszył w drogę. Po chwili zauważył, że ktoś go ściga. „Nie dam się wyprzedzić" — pomyślał i „pełną parą" biegł dalej. Uparty jednak towarzysz nie chciał ustąpić. To współzawodnictwo spowodowało, że całą drogę Sjouke Boukma odbył w pół godziny, a gdy zziajany powrócił do domu, pokazało się, że tym współzawodnikiem jego był poprostu.. jego własny cień!

Łyżwy w historji Holandji mają swoją piękną przeszłość i to nietylko sportową, ale nawet polityczną. Ale zacznijmy od historji sportu łyżwiarskiego. Otóż trzeba pamiętać, że najwięcej mistrzów łyżwiarstwa wyszło właśnie z Holandji, a „as" Jaap Eden, który żył na przełomie XIX i XX wieku i uzyskał liczne rekordy światowe, pochodził z klasycznej ojczyzny łyżwiarstwa, Fryzlandji. Zdolności swoje odziedziczyły również jego dzieci, które zdobyły sobie niebyle stanowisko w łyżwiarstwie, a do dziś dnia pewien styl jazdy na łyżwach nosi nazwisko Edena. A teraz o „politycznej" stronie łyżew:



W każdą niedzielę ślizgawki holenderskie roją się od różnorodnej rozbawionej publiczności.



Oto jak wyglądały zawody łyżwiarskie w r. 1864 na rzece Amstel. Sądząc z licznych sztandarów przybrały one charakter święta narodowego.

Gdy w połowie XVI wieku wybuchło powstanie Holendrów przeciwko Hiszpanom, łyżwy odegrały w tej walce dużą rolę. Hiszpanie, typowi ludzie południa, dziwnie nieporadnie czuli się na lodzie. Zwycięstwo zależało od tego, czy zdołają zdobyć oblężone przez siebie miasta holenderskie, w których coraz bardziej dawał się odczuwać brak amunicji. Holendrzy, korzystając z zamarznięcia wszystkich kanałów, zdołali, posługując się saniami i łyżwami, dostarczyć oblężonym miastom amunicji, co uratowało je od zdobycia przez Hiszpanów. Tak więc swą niepodległość Holandja zawdzięcza w wielkiej mierze swemu narodowemu sportowi.

Piękne, ciemno-zielone pola, przekreślone szaro-srebrnemi pasami wody, tu i owdzie kępka żywych kolorów — ogrody i kwiaty, na horyzoncie duże młyny, poruszające miarowo skrzydłami wiatraków i stare, nieco mroczne miasta, oto oblicze letnie ojczyzny Rembrandta i Ruysdala. Obraz ten, przyprószony śniegiem i szkliwem zamarzniętych kanałów i jezior, niemniej jest uroczy w zimie. Ale co przedewszystkiem budzi zainteresowanie w każdej porze roku, to okoliczność, że w tym kraju naprawdę każda piędź ziemi jest owocem długoletniej pracy człowieka. Stworzenie kanałów i wciśnięcie niesfornego żywiołu wody w stałe ramy, kosztowało całe wieki pracy inżynierów, oraz samej ludności. Krajobraz Holandji jest wielką pieśnią pochwalną na cześć jej mieszkańców. I co najciekawsze, że niema bodaj kraju równie konserwatywnego w swym wyglądzie, jak właśnie Holandja: przecież jadąc koleją i wyglądając oknem, mamy nieraz wrażenie, że to jakiś obraz Teniersa, czy Ruysdala został ożywiony, oblókł się w żywe barwy i oto czaruje przybysza.

JGM.



Na prawo: Holandja, poprzecinana niezliczonymi kanałami, jest wymarzonym krajem dla łyżwiarzy.



KOLEŻEŃSKA WIZYTA...

„OD KRZESIWKA DO ZAPAŁKI"

W jaki sposób pierwszy człowiek zdobył ogień, dokładnie nie wiemy. Po raz pierwszy zapoznał się z nim zapewne podczas pożaru lasu, powstałego w czasie długotrwałej suszy czy zapalonego uderzeniem pioruna lub podczas wybuchu wulkanu. Zdobycie ognia nastąpiło prawdopodobnie w różnych miejscach ziemi. Z resztek spalonych kości i węgla drzewnego z wykopalisk, wnosić można, że człowiek znał już ogień przed 200.000 lat.

Z pewnością wiele czasu upłynęło od chwili zdobycia ognia do czasu wytwarzania go w miarę potrzeby. Jeszcze nawet dzisiaj są ludy, stojące na takim samym niskim stopniu rozwoju, jak np. tubylcy z wysp Andamańskich na oceanie Indyjskim, którzy według relacyj podróżników z końca XVIII w. używali ognia, lecz nie umieli go niecić.

Gdy człowiek pierwotny poznał wielorakie korzyści płynące z używania ognia, a zwłaszcza doskonałą obronę przeciw napaściom dzikich zwierząt, starał się o zabezpieczenie jego posiadania. Przez tysiące lat przechowywał ogień troskliwie, otaczając go nimbem świętości. Według starożytnych mitów ogień został wydarty bogom przez Prometeusza, a podobne pochodzenie ognia przyjmują i sagi północne. U wielu ludów ogień był podtrzymywany przez osobnych kapłanów; w starożytnym Rzymie świętym ogniem opiekowały się Westalki, również i u Słowian istniały niegasnące święte znicze. Gdzieniegdzie, zwłaszcza u Słowian południowych i wschodnich, a przedewszystkiem na Białorusi doniedawna jeszcze dbały gospodynie o to, by ogień w chacie nigdy nie wygasł. To przechowywanie ognia przez ludy stojące na wyższym stopniu kultury stanowi objaw szczątkowy z tych odległych czasów, w których ogień przechowywano z potrzeby.

W tych czasach, kiedy nie znano jeszcze sposobów uzyskiwania ognia, przenoszono go z miejsca na miejsce przy pomocy żarzących się drzewnych polan lub rdzenia niektórych roślin. Są nawet przypuszczenia, że w micie o Prometeuszu tkwi wspomnienie przeniesienia ognia przez Greków od sąsiadów; miało to nastąpić przy pomocy rdzenia rośliny zapaliczki (Ferula communis), który i dzisiaj w niektórych obszarach nad morzem Śródziemnem używany jest jako hubka; inni autorzy przypuszczają znowu, że Prometeusz umiał już otrzymywać ogień przez krzesanie dwóch kamieni.

Bardzo wcześnie w dziejach rozwoju ludzkości musiano zauważyć, że przez uderzanie dwóch kamieni powstają iskry, które mogą zapalić niektóre ciała łatwopalne. Niektóre zwłaszcza kamienie dają obfite iskry, a mianowicie krzemienie i pospolite piryty. Sposób otrzymywania ognia drogą krzesania iskier przez uderzania krzemieni o siebie lub pirytu o krzemień znany już był w epoce kamiennej i bronzu, jak świadczą o tem znaleziska kamieni i pirytów w mieszkaniach człowieka pierwotnego z tego okresu.

Drugi pierwotny sposób otrzymywania ognia polega na pocieraniu dwóch kawałków suchego drzewa o siebie; powstające przytem ciepło może zapalić ciało łatwopalne. Istnieje wiele rozmaitych sposobów uzyskiwania ognia opartych na tej zasadzie, są nawet jeszcze i dzisiaj ludy, które tą drogą otrzymują ogień. Niedawno wyświetlano w British Museum w Londynie naukowy film, przedstawiający życie prymitywnego



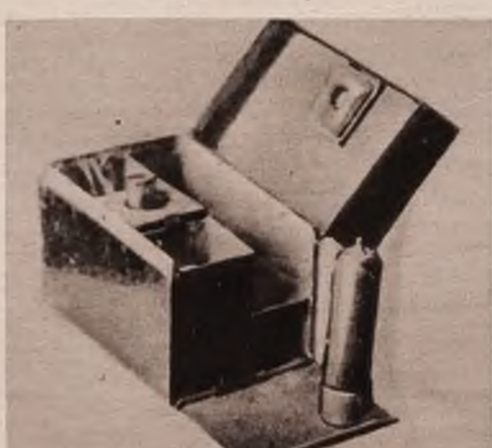
Ozdobne krzesiwko z północnej Azji. Torebka, zawierająca hubkę, posiada ostrze stalowe służące do krzesania iskier.



Oto staroświecki kapciuch na tytoń, krzesiwko stalowe i hubka.



„Samopał" służący do krzesania ognia przypominc staroświecki pistolet



Pierwotne zapałki: w środku pudełka znajduje się flaszka z kwasem siarkowym, w lewej części drewienka, po prawej stronie mała świeczka.

szczepu Worora z półn.-zachodniej Australji, a zawierający m. in. uzyskiwanie ognia przy pomocy dwóch kawałków drzewa. Podczas sporządzania narzędzi i broni z drzewa, kamienia, kości i rogu przez pierwotnego człowieka wytwarzało się ciepło, które w sprzyjających warunkach mogło doprowadzić do rozżarzenia się wiórek i pyłu drzewnego, a nawet do powstania płomienia. Fakt taki mógł naprowadzić naszych praojców na pomysł uzyskiwania ognia tą drogą w miarę potrzeby.

Pierwotne krzesiwka krzemienne i pirytowo-krzemienne uległy zmianom z chwilą odkrycia żelaza i wyrobu stali; takie same krzesiwka stalowo-krzemienne, jakie znajdywano w starych budowlach palowych np. nad jeziorem Bodeńskiem, do niedawna jeszcze były używane w całym świecie cywilizowanym do otrzymywania ognia.

W starożytności znano oba sposoby otrzymywania ognia, przyczem jako substancji łatwopalnej przy użyciu krzesiwek krzemiennych używano suchych liści, grzybów drzewnych, wiór, a także i siarki. Grecy posługiwali się także soczewkami z kryształu górskiego, t. j. kwarcu i zwierciadłami wklęsłemi. Z opisów Plutarcha dowiadujemy się, że zwierciadła takie sporządzano nieraz z polerowanego srebra. Pliniusz podaje, że jako soczewek używano również naczyń szklanych okrągłego kształtu, napełnionych wodą. Podobne soczewki używane były, a częściowo znajdują zastosowanie i dzisiaj jeszcze, w niektórych warsztatach rzemieślniczych dla zwiększenia siły światła.

W średniowieczu dominowało krzesiwko stalowe, w którem uderzenie stali o krzemień wytwarzało iskry zapalające ciała łatwopalne. Przybierały one najrozmaitsze formy. Obok prymitywnych, prostych sztabek, jak i krzesiwek kabłączkowych i dwukabłączkowych używano niekiedy krzesiwek zaopatrzonych w drewniane rączki lub umieszczanych na grzbietach scyzoryków; nieraz stanowiły one części torebek skórzanych, w których przechowywano hubkę i krzemień. Z późniejszych czasów znane są krzesiwka pięknie zdobione, w których zamiast zwykłego krzemienia używano polerowanego agatu. Używane były i krzesiwka stołowe, w których iskry wytwarzano przez obrót stalowego krążka i pocieranie o krzemień.

Jako hubki obok wiórek drzewnych i siarki używano również zwęglonego płótna, pospolicie jednak, zwłaszcza w czasach późniejszych znalazły zastosowanie grzyby drzewne rosnące na starych dębach i bukach. Zwykle krajano kapelusz grzyba na plasterki, zmiękczano je w wodzie, gotowano w roztworze sody, wymywano, suszono, wyklepywano na miękko, nasycano saletrą i suszono ponownie. Dla nadania hubkom przyjemnego zapachu moczono je w różnych wyciągach roślinnych.

Krzesiwka z późniejszych czasów zawierały zamiast hubki lont, składający się z knota luźno splecionego z bawełny, nasyconego roztworem chromianu potasu; lonty te odznaczały się szybkiem zapalaniem od iskier. Z końcem wieku XVII-ego w powszechnem użyciu było t. zw. krzesiwko turyngskie z lontem siarkowym.

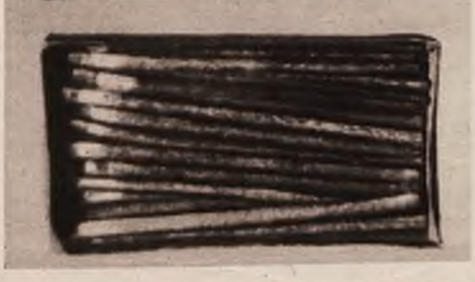
Wprowadzenie strzelb skałkowych spowodowało użycie tych mechanizmów jako krzesiwek. W tym celu budowano rozmaitej konstrukcji samopały i pistolety, w których przez pociągnięcie cyngla spuszczano kurek z krzemieniem na stalową blaszkę: powsta-



Powyżej: „Pistolet" z XVIII wieku.

Poniżej: Oto jak wyglądały pierwsze angielskie zapałki.







Zapałki sprzed stu lat.

jące iskry zapalały hubkę. Pistolety te posiadały przeważnie małe lichtarze na świece, niekiedy zręcznie i dowcipnie umieszczone w otwieranej lufie pistoletu. Wiele takich bogato zdobionych pistoletów można spotkać zwłaszcza w muzeach angielskich.

Po odkryciu fosforu w drugiej połowie XVII-ego wieku próbowano użyć tego łatwopalnego pierwiastka do otrzymywania ognia. Kawałki fosforu pocierano między paskami szorstkiego papieru, a po zapaleniu się rzucano na hubkę czy inne ciało. Ten jednak sposób wywoływał liczne poparzenia i zapalenia się sukien i w niedługim czasie zupełnie został zarzucony.

Dopiero z końcem XVIII-go wieku zjawia się szereg pomysłów, które starają się zastąpić niezbyt wygodne krzesiwko. Z odkryciem wodoru, powstającego przez działanie kwasu na cynk lub żelazo, wiąże się pojawienie różnego typu krzesiwek elektrycznych, w których wydzielający się wodór zapalany był iskrą elektryczną. Z tych czasów pochodzą również krzesiwka elektryczne, w których iskra elektryczna zapalała lampę naftowo-eterową. Cena jednak tych wszystkich krzesiwek elektrycznych była wysoka, ponadto nie mogły one znaleść powszechnego zastosowania wskutek trudności przenoszenia ich z miejsca na miejsce.

Znaczne ulepszenie wprowadził niemiecki chemik Döbereiner, który w r. 1823 zbudował krzesiwko wodorowe, w którem wydzielający się wodór zapalał się przez zetknięcie się z rozdrobnioną platyną, czyli t. zw. gąbką platynową. Ten typ krzesiwka zwany zwykle krzesiwkiem Döbereinera, doczekał się wielu ulepszeń i przez pewien czas był dosyć powszechnie używany.

Do niecenia ognia używano również i soczewek zbierających, które znajdywały zastosowanie od w. XIII, zyskując największe rozpowszechnienie z końcem w. XVIII. Działanie ich jednak było ograniczone do dni słonecznych, stąd też musiały ustąpić różnym krzesiwkom chemicznym, chociaż z użyciem soczewek można spotkać się i z początkiem wieku XIX.

Duży postęp stanowiło wprowadzenie z początkiem XIX wieku krzesiwek chemicznych, w których głównym składnikiem był chloran potasu. Już z końcem XVIII wieku wiedziano, że mieszanina chloranu potasu z ciałami palnemi zapala się pod wpływem stężonego kwasu siarkowego. Pierwsze zastosowanie tej własności chloranu potasu zawdzięczamy Chancelowi, który w r. 1805 sporządził w Paryżu rodzaj pierwszych zapałek maczanych. Małe drewienka powlekano z jednego końca siarką, a sam łebek robiono z mieszaniny chloranu potasu, cukru i gumy; te drewienka zanurzano do kwasu siarkowego, otrzymując płomień po ich wyjęciu. W muzeach można oglądać małe zgrabne pudełka z tych czasów, zawierające małą flaszeczkę z asbestem napojonym kwasem siarkowym i przegródką na drewienka, stanowiące rodzaj pierwszych zapałek.

Krzesiwka te cieszyły się dużą popularnością; i one jednak nie były pozbawione stron ujemnych, z których najdotkliwszą było rozpryskiwanie się drobnych kropelek kwasu siarkowego, który wypalał nieraz dziurki w ubraniu czy meblach. Różne ulepszenia natury technicznej starały się tym niespodziankom przeciwdziałać.

Na zupełnie innej zasadzie opierały się krzesiwka powietrzne czyli pneumatyczne. Były to metalowe lub drewniane, a czasem i szklane cylindry tłokowe o długości kilkunastu centymetrów, w których przez szybkie wsunięcie szczelnie dopasowanego tłoka wskutek zgęszczenia zawartego wewnątrz powietrza powstawało ciepło wystarczające do zapalenia hubki znajdującej się na końcu tłoka. Podobne krzesiwka pneumatyczne znane były już dawniej wielu ludom azjatyckim, lecz ówczesne wprowadzenie ich do Europy uważane było za nowe odkrycie. I dzisiaj są one używane w niektórych okolicach Indyj zachodnich, w Indochinach i na Borneo.

Te wszystkie próby zastąpienia niezbyt wygodnego krzesiwka poprzedziły zjawienie się właściwych zapałek. Pierwszeństwo tego doniosłego wynalazku przypisuje się zwykle Niemcowi Johannowi Friedrichowi Kammererowi, chociaż w Anglji za wcześniejszy uważa się wynalazek aptekarza ze Stockton, Johna Walkera, który już w r. 1827 używał jako pierwszych zapałek drewienek powleczonych na jednym końcu mieszaniną chloranu potasu i siarczku antymonu oraz gumy; pierwsze te zapałki zapalały się pocierane między paskami piaskowego papieru. Patentem Samuela Jonesa zostały one wprowadzone na rynek angielski w jesieni r. 1832 jako t. zw. „lucifers"; określano je również nazwą zapałek Congreve'a od słynnego wynalazcy rakiet Williama Congreve'a.

Sto lat przeszło dzieli nas od tych pierwszych właściwych zapałek. W tym okresie czasu ulegały one rozmaitym ulepszeniom, które wreszcie doprowadziły do powszechnie używanego typu „zapałek szwedzkich bez siarki i fosforu". Komuż jednak przychodzi na myśl, gdy zapala papierosa od niepozornej, a jakże pożytecznej zapałki, wiele wysiłków pokonać musiał umysł ludzki, aby od krzesiwka używanego prawie do ostatnich czasów przejść do tego prostego — wydawałoby się — wynalazku!

Dr. K. M.

Poniżej: Nowoczesna maszyna służąca do cięcia zapałek...





Powyżej: ...a oto jej „koleżanka", która fabrykuje pudełka do zapałek.

NA LWIE JEŹDZIĆ BĘDZIESZ...





Po lewej: Oto częsty obrazek widywany w Holandji: pies ciągnie wózek mleczarski.





Powyżej od lewej: Ameryka — kraj sensacyj, zaprzęgła do wózka mleczarskiego parę dorodnych zeber. — Najspokojniejszy zaprząg świata: woły ciągną rodzaj saneczek.

Do najmilszych zabaw i rozrywek naszego dzieciństwa należała karuzela i do dziś należy do nalmilszych dla... naszych najmilszych! Jakże bardzo lubiliśmy dosiądać drewnianych rumaków karuzeli, ale jeszcze więcej pociągały nas egzotyczne zaprzęgi tam wyobrażone. — A więc zebra, wielbłąd, albo też niezwykłe środki lokomocji, jak lokomotywa właśnie czy hydroplan...

Za parę groszy i przez parę minut bywaliśmy wtedy egzotycznymi podróżnikami.

Nikt z nas wtedy z pewnością nie wyobrażał sobie, że gdzieś w dalekim świecie istnieją jednak naprawdę tak egzoiyczne i nawet jeszcze egzotyczniejsze zaprzęgi. Tylko że — aby niemi się przejechać — trzebaby nieco więcej pieniędzy niż na karuzelę i nieco więcej czasu na to poświęcić... Któżby jednak z nas — gdyby miał te pieniądze — nie rzucił ich w okienko kasy biletowej, jak ongiś do rąk właściciela karuzeli?

Narazie jednak zadowolić się musimy fotografjami. Gdybyśmy byli teraz w Egipcie, moglibyśmy przejechać się lekkim wózkiem, do którego zaprzężono strusia. Przypuśćmy, że na nasz widok nie zastosowałby on strusiej polityki i nie schował ze zgrozy małej swej główki w piach pustyni...

W Indjach zaś moglibyśmy korzystać z zaprzęgu słoniowego, albo wprost dosiąść słonia. Przez pustynię afrykańską niósłby nas wielbłąd. Gdzieindziej znowu zamiast kucyka, mogłaby ciągnąć lekki zaprzęg zebra — ten tak miły konik w więziennym kostjumie w paski.

Gdyby zaś naszej ekscentryczności to wszystko było mało, gdyby nie zadowolił nas ani psi zaprząg na Alasce czy w Szwajcarji, ani — ale już chyba tylko na oko — zaprząg z świnek — to moglibyśmy ujrzeć — będąc w Chinach — człowieka. zastępującego konia i pędzącego z nami przez ulice w lekkim bambusowym wózku...

Różne są więc możliwości i zwyczaje w wielkim świecie, jeśli chodzi o zaprzęgi, u nas tak bardzo nieurozmaicone: koń i tylko koń... Bo nawet zaprząg auta — to też przecież konie, tylko że parowe...

Oglądając te rozłożone dokoła fotografje, widzimy, że właściwie różne zwyczaje świata — to jakby wielka karuzela — ta właśnie karuzela z naszego dzieciństwa, którą do dziś dnia tak mile wspominamy...



Powyżej: Trzy „generacje" wehikułów.

Poniżej: „Najsmaczniejszy" zaprząg!





Powyżej: Oryginalne jednokołowe „dorożki" Chińczyków.



Król zwierząt ujarzmiony przez dzieci.

G·O·D·Z·I·N·A
z życia warszawskiego drapacza chmur



Z wąskiej ulicy Świętokrzyskiej wyrasta, jak by spod ziemi, olbrzymi drapacz chmur...

Mała, ciemna towarowa winda. Naciśnięcie guzika... Dziwne uczucie — nie jedziemy w górę, lecz w dół.

Winda sunie — pierwsze piętro, drugie, trzecie... Jesteśmy na najniższem piętrze podziemi, kilkanaście metrów pod poziomem ulicy. Uświadamiamy sobie, co dzieje się ponad nami Oto wznosi się tam, ku niebu olbrzymia wieża szesnasto piętrowego drapacza chmur. Pierwszy, i jak dotąd, jedyny drapacz chmur w Warszawie. Siedemdziesiąt metrów wysokości od poziomu ulicy.

Stąpamy po płycie żelbetonowej. Jest to najniższa płyta fundamentów, grubości 1,50 m. Wokół nas wspaniałe ściany fundamentów. Użyto do wzniesienia nich 1200 tonn cementu i 200 tonn żelaza. Ta zbita, mocna masa trzyma na sobie wagę 1300 tonn żelaza profilowanego, tworzącego szkielet drapacza, prócz tego dwa miljony cegieł, użytych do zbudowania ścian oraz jakieś tysiące kilogramów materjałów dodatkowych i urządzeń wewnętrznych!

Wznosi się ponad nami wspaniała budowla, obejmująca pięćset pokojów. Pięć klatek schodowych, posiadających około 1500 stopni, oraz sześć wind w tem jedna pośpieszna, sunąca z szybkością $1\frac{1}{2}$ metra na sekundę (więc wysokość 16-piętra osiąga się w 35 sekund). W tych setkach pokoi i po owych tysiącach stopni przebiega w jednej i tej samej chwili kilka tysięcy osób. W gmachu przebywa stale dwa tysiące mieszkańców i urzędników; ilość interesantów, odwiedzających biura, rozmieszczone w całym gmachu, dochodzi natomiast do.... trzech tysięcy dziennie.

Nie nużmy Czytelnika zbyt długą litanją cyfr. Więc już cyfra ostatnia, wprost niewiarygodna. Oto na najniższem piętrze podziemi zwiedzamy urządzenia do centralnego ogrzewania gmachu. Pomyślcie: jednym piecem ogrzać pięćset pokojów, wszystkie klatki schodowe i korytarze! To też centralne ogrzewanie naszego drapacza spala przez jedną zimę... 570 tonn koksu. 570 tonn — to jest.. 40 wagonów kolejowych. Cały pociąg towarowy!

Na wyższem piętrze podziemi rozmieszczono urządzenia do wentylacji. Są to wprost imponujące instalacje. Sześć turbinowych wentylatorów stale jest w ruchu. Jedne wyciągają z sal biurowych zużyte powietrze, inne wchłaniają „czyste" powietrze z ulicy na wysokości szóstego piętra. Piszę „czyste" w cudzysłowie — bowiem w wielkiem mieście czyż można mówić o czystem powietrzu? To też wentylator przesyła to wchłonięte z ulicy powietrze do specjalnych filtrów i dopiero tak przefiltrowane tłoczy do sal biurowych. System rur urządzeń wentylacyjnych drapacza liczy sobie pięć... kilometrów rur...

A oto jeszcze specjalne pompy wodne, dostarczają wody na najwyższe piętra. Normalne ciśnienie wody w Wodociągach warszawskich pozwala na windowanie wody zaledwie do szóstego piętra. Gmach musi więc posiadać własne dodatkowe pompy, dostarczające wodę na siódme, ósme i.... szesnaste piętro.



W kole: Dwie windy obsługują warszawskiego „sky-scraper'a" — jedna „zwykła" do 5 piętra, druga od 5 do 16 piętra.

Wielkie, ponure podziemia nietylko dźwigają na swych barach wysoki dom. Podziemia pracują na ten dom znojną, odpowiedzialną pracą dnia i nocy.

A teraz jedziemy w górę. Na parterze przesiadamy się do windy osobowej. Którą windą, zwykłą, czy pośpieszną? Pośpieszną! Oczywiście!

Winda mknie z szybkością, która sprawia przyjemność. Przyzwyczajeni jesteśmy do nudnego, żółwiego kroku wind, naszych dwu, lub trzypiętrowych domków. Tutaj suniemy, jak porwani w powietrze

Ósme piętro, dziesiąte, trzynaste. Po drodze wysiadamy kilkakrotnie Tutaj olbrzymie sale biurowe, w których pracuje po kilkudziesięciu pracowników. Tutaj niewielkie mieszkania rodzinne. Wszędzie życie, wszędzie ludzie. Tysiące świateł, tysiące dzwonków, setki telefonów... Życie wre, spełnia się codzienne nabożeństwo tego życia, tej pracy...

Wreszcie na dachu drapacza... U stóp rozciąga się nieprzejrzana dal miljonowego miasta. Jesteśmy w jego sercu, w centrum. Kamienny blok kamienic przerzynają kenjony wąskich ulic. Miasto przecięte na pół szarą wstęgą rzeki. Miasto jest szare, zadymione, jakby uśpione, choć to wczesna godzina popołudniowa. Tu, na wysokości siedemdziesięciu metrów słabe tylko odgłosy dochodzą jego życia. Mkną maleńkie pudełeczka — to samoloty. Suną dziwne punkciki.... to ludzie.

Miljon ludzi żyje u stóp drapacza chmur. Miljon ludzi jest w tej kamienej dolinie, krząta się, myśli, żyje...

Patrzy na nich z niepoznawalnem zdziwieniem biała wieża drapacza... **Romit.**



Wnętrze warszawskiego kolosa: jedna z największych sal biurowych.



Powyżej: W podziemiach drapacza chmur znajdują się maszyny do regulowania wentylatorów.



Na lewo: Oto widok na stolicę z szczytu drapacza chmur.

KAMERA na kołach — szuka aktora



Aluminjowy kran z zawieszoną u szczytu kamerą — podczas zdjęć.



W epoce sukien z trenami i bufiastych rękawów umierał XIX wiek swą łagodną, piękną śmiercią. W tym czasie narodziła się X Muza. Młoda, brzydka, niezgrabna myślała, że podbije świat. Tego samego zdania byli jej ojcowie. Nadzieja ta mogła wydać się nawet na owe czasy śmieszną. Świat był bowiem zepsuty, rozkapryszony, rozbawiony i nie chciał zajmować się przejawami genjalności biednej, najmłodszej Muzy.

Mijały lata. Muza podrastała, dojrzewała do życia. Wtedy to stwierdzili niektórzy, że jest nawet interesująca. Znane są wypadki, że pewni entuzjastycznie usposobieni „szaleńcy" wróżyli jej wspaniałą przyszłość, i z uporem poświęcali na edukację X Muzy wiele pieniędzy, by kiedyś wprowadzić ją w szeroki świat.

Tualety były skromne, niedobrane — uśmiechy niepewne. Wiele kosztowało trudu i czasu, aby nauczyć ją wdzięcznych ruchów.

Aż przyszedł r. 1915 i pierwsze zdobycze i niebylejakie triumfy. Muza nauczyła się patrzeć. Przejrzała — a z nią falangi niedowiarków, którzy pojęli, jak ciekawem i zupełnie odrębnem było to spojrzenie nowej Muzy na stary świat. Z tego okresu datują się pierwsze zdobycze kina: — zdjęcia z bliska, fragmentowanie fotografowanej sceny, duże portrety.

W okresie, kiedy Europa zamieniła swe uprawne pola na miejsce krwawych rozgrywek — kiedy szalała, orząc swą ziemię granatami — młoda Ameryka po swojemu, z młodzieńczą energją i zachwytem dla nowej i tajemniczej potęgi, jaką przeczuwała słusznie w kinematografji — ulepszała aparat filmowy, technikę zdjęć, mimiki i gry. Nieznane są lub zapomniane nazwiska tych, którzy dorzucając swe pomysły z tej czy innej dziedziny w zakresie filmu przyczynili się do zrealizowania dzieła tak potężnego, jakiem jest film w swej obecnej formie. W pamięci pozostały tylko imiona aktorów, którzy figurowali w filmach z tego przełomowego okresu: Douglas Fairbanks, Rio Jim, Charlie Chaplin.

Dalszemi etapami w rozwoju kina i staraniach o nowe typowo filmowe drogi dla kina były piękne i dobrze zrobione rzeczy Skandynawów. Po wojnie słynęły cieszące się olbrzymiem powodzeniem filmy ekspresjonistyczne niemieckie, jak: „Dr. Caligari", „Gabinet figur woskowych", „Car Piotr", „Prawo pierwszej nocy" itd.

Jednak dopiero r. 1924 staje się przełomowym dla techniki zdjęć filmowych. Realizator i reżyser wielu sławnych filmów — Niemiec F. W. Murnau — niedawno zmarły mistrz ekranu, odkrył rzecz, zdawałoby się niezwykle prostą, że aparat filmowy jako martwy, nie poruszający się objekt, patrzący z jednego punktu na zdarzenia i postaci filmowe nie oddaje wszystkich ekspresyjnych efektów i powoduje pewną ociężałość w przenoszeniu się od jednej sceny do drugiej.

Aby tej nieruchomości zaradzić projektuje Murnau szereg scen, które miały być sfotografowane w ruchu i posługuje się nową kamerą filmową umieszczoną na kołach, która porusza się, toczy, goni, podpatruje i przybywa wszędzie, gdzie tego nakazuje rzeczywistość filmowa, dla której nie powinny istnieć przeszkody w pokazaniu życia takiem, jakiem ono jest w wszystkich swych przejawach nieograniczonych przestrzenią. Aparat filmowy, który dotąd trwał niewzruszenie na jednej pozycji i tylko z jednego punktu obserwować musiał zdarzenia rozgrywające się wokół — stał się odrazu czemś żywem, podążającem za akcją filmu. Towarzyszy on aktorowi w jego dramatycznych przeżyciach, staje się jego powiernikiem w każdej chwili, w najbardziej nieprawdopodobnych sytuacjach, nie opuszcza go nigdy i dzięki temu podpatruje nawet jego samotność.

Prawie równocześnie Abel Gance — reżyser francuski — pracuje nad tą nową manierą zdjęć kinematograficznych i przyczynia się do ich ustalenia i przyjęcia jako waloru niezbędnego i wysokowartościowego.

Na lewo: Wielki, elektryczny kran do zdjęć filmowych, umieszczony na ruchomej, poruszanej elektrycznością, platformie.

W kole: Sławny operator filmowy E. G. Dyer, który nakręcił zdjęcia lotnicze dla 12-tu filmów, posługuje się podwójnym aparatem filmowym. Aparaty są przymocowane na specjalnym statywie do samolotu.





Operatorzy z platformy przymocowanej do samochodu fotografują inny biegnący przed nimi pojazd.



Na lewo: Wielki, elektryczny kran do zdjęć filmowych, umieszczony na ruchomej, poruszanej elektrycznością, platformie.

Również kamera Gance'a bierze udział w akcji, a nie, jak to dawniej było — obserwuje ją.

Mniejwięcej od tego czasu aparat filmowy patrzy swem szklanem okiem na jeźdźca w galopie — sam galopując obok, pędzi pociągiem, by inny express wyprzedzić, podąża krok w krok za parą zakochanych, przenika ściany, unosi się w górę lub opada wdół. Widzi wszystko i wszystkich w ruchu sam będąc istotą poruszającą się.

Abel Gance powiedział: „Człowiek w kinie przestaje być obecnie widzem — staje się aktorem. Nie ogląda on już rozgrywającego się przed nim dramatu, ale bierze w nim udział".

Trudno jest obecnie zdać sobie sprawę, jak trafne jest to powiedzenie Gance'a: teraz, kiedy widz przyzwyczaił się już do wielu rzeczy, które być może niedawno jeszcze szokowały go swą nowością, świeżością ujęcia i niespodziewaną prostotą.

Po wprowadzeniu filmu dźwiękowego wyłoniło się bardzo wiele trudności natury technicznej, które objęły także kamerę ruchomą. Trudności te polegały na tem, że równocześnie z aparatem musiał poruszać się mikrofon, który z każdego punktu inaczej odbierał fale głosowe i inaczej reagował na akustykę zmieniającego się z każdą chwilą otoczenia. Prócz tego mikrofon, znajdujący się wraz z aparatem filmowym na poruszającym się pojeździe mechanicznym, odbierał nietylko dźwięki przeznaczone do zanotowania na taśmie filmowej, ale także szmery i zgrzyty, pochodzące z mechanizmu pracującego nad uruchomieniem pojazdu. Wraz z temi trudnościami przebudowano cały szereg rekwizytów do zdjęć, skonstruowano nowe urządzenia do zdjęć, odznaczające się ogromną precyzją działania i poruszające się bez szmeru.

Bywalec kinowy nie zdaje sobie sprawy, jak długo trwają przygotowania do sceny, która na ekranie podczas wyświetlania filmu — trwa parę sekund. Najdrobniejszy szczegół, każdy ruch aktora, aparatu filmowego i mikrofonu musi być sharmonizowany, musi być bezwzględnie dokładny, odbywając się w zupełnej ciszy. Jeżeli sobie zdać sprawę jeszcze z tego, że przy każdym ruchu aktora i aparatu filmowego zmienia się odległość objektu fotografowanego do soczewki, i że trzeba pamiętać, aby z precyzyjną dokładnością w każdej sekundzie doregulować ten objektyw, dojdzie się łatwo do przekonania, że nakręcanie filmu jest rzeczą niebywale trudną i wyczerpującą.



Powyżej: Aparat filmowy wraz z reflektorami, umieszczony na huśtawce.

Poniżej: Oto rusztowanie i poruszający się po nim wózek z aparatem filmowym. Urządzenie to zbudowano, aby dokonać krótkiego zdjęcia aktorów, idących po schodach.



Jedna z amerykańskich wytwórni filmowych wybudowała specjalną platformę na kołach, poruszaną prądem elektrycznym, która służy do fotografowania scen, odbywających się z wielką szybkością w terenie. Platforma ta posiada cztery podja, które poruszają się na rozkaz operatora w górę i wdół. Z platformy takiej nakręca się zdjęcia wyścigów konnych, ataków kawalerji i t. p. Jakże precyzyjnie poruszać się musi taka platforma podczas zdjęć, by nie uronić nic z mimiki pędzącego na koniu aktora lub by wogóle nie stracić objektu fotografowanego z pola widzenia!

Urządzenie zbliżone do poprzedniego sporządziła inna znowu wytwórnia amerykańska przed nakręceniem filmu „Broadway", a następnie „Na zachodzie bez zmian". Przyrząd, który umożliwiał wszystkie ruchy aparatu, zbudowany jest również na poruszanej elektrycznością platformie. W środku umieszczono słup stalowy, który wraz z przytwierdzoną do niego dźwignią, poruszającą się wahadłowo, może obracać się wokoło. Na końcu ramienia tego przyrządu, przypominającego dźwig portowy, mieści się otwarta klatka z aparatem filmowym, mikrofonem, oraz miejscami dla operatorów i reżysera. Z klatki tej operator zapomocą kontaktów elektrycznych wprawia w ruch poszczególne mechanizmy, powodując tem samem płynne ruchy aparatu filmowego we wszystkich kierunkach. W filmie „Na zachodzie bez zmian" można było zaobserwować niezwykłe efekty, jakie daje ten sposób filmowania — przy ustawicznie zmieniającym się kącie patrzenia.

Te i wiele innych urządzeń instaluje się w wytwórniach filmowych nieraz dla krótkiego zdjęcia. Aby fotografować idących po schodach aktorów, mechanicy danej wytwórni budują rusztowanie i przygotowują windy.

Film „Pod dachami Paryża", zrealizowany przez sławnego reżysera francuskiego — Rene Clair'a, rozpoczyna się melodją śpiewaną na ulicy przez wędrownych śpiewaków. Aparat filmowy obserwuje scenę poprzez kominy z dachu domu, by następnie obsunąć się krętą spiralą na poziom ulicy i ująć zbliska śpiewającą grupę ludzi. Aby to ciekawe podejście z obojętnej na życie ulicy — wysokości — do życia tej ulicy uskutecznić, musiano wybudować wieżę, wysokości dwudziestu metrów, połączoną z pochylnią długości stu metrów. Pochylnia zaopatrzona została w szyny, na których poruszał się wózek z przytwierdzonym do niego aparatem filmowym. Zdjęcie to połączone z akustycznym efektem zbliżających się głosów i melodyj, trwało zaledwie parę sekund. Któżby przypuszczał, że tych kilkadziesiąt metrów taśmy filmowej i ten efekt trwający tak krótko kosztował 200.000 franków, czyli 70.000 złotych!

Film nie może być zrobiony tanio. Wytwórnie filmowe nie szczędzą pieniędzy, aby nadać mu pozory prawdziwego życia. Dlatego też nietylko dekoracje, ale i sposób patrzenia na te dekoracje musi być prawdziwy, życiowy i urozmaicony. Tylko bowiem wtedy film jest żywy, posiada specyficzne dla swej techniki wartości i intryguje każdym metrem swej wielokilometrowej długości.

Zagraniczny przemysł filmowy jest dostatecznie bogaty, by pozwolić sobie na każdy wydatek. Czeka on tylko na nowe pomysły, dysponuje olbrzymiemi kapitałami i wynagradza sowicie tych, którzy potrafią wnieść coś nowego do filmu.

jot.



FLISAK NA RENIE
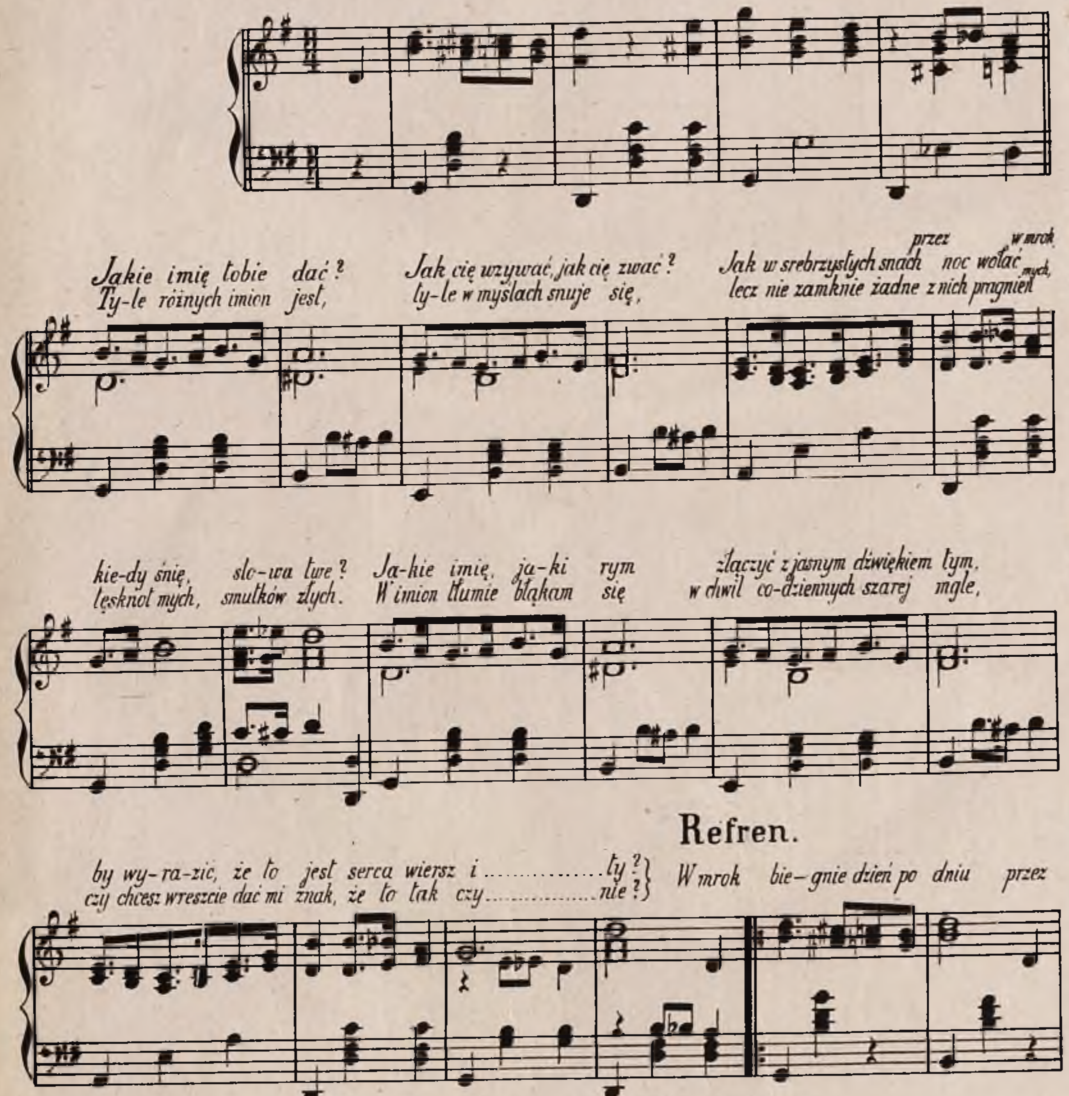
PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

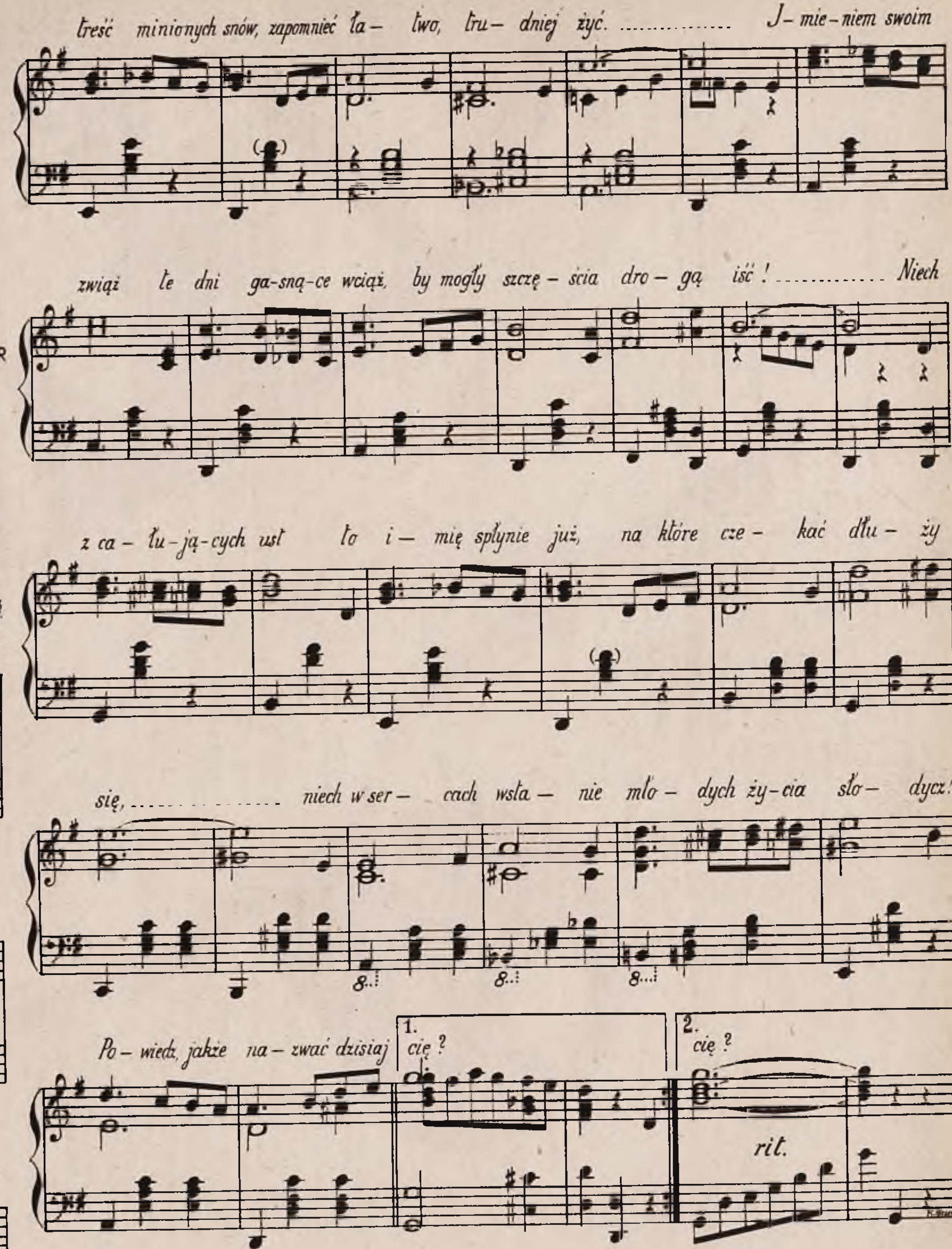
»NIEZNANE IMIĘ«

Walc angielski.

Słowa:
WITOLD ZECHENTER

Muzyka:
EUGENJA MARMOR





JOANNA



MARJA KASTERSKA

NOWELA

DOKOŃCZENIE Z N-ru 3-go.

— Chwilowa depresja, Joanno. Minie, bo życie ma swoje prawa i młodość też.

Nie odpowiedziała nic. Patrzyła w okno, za którem bladło już niebo nocne przed świtem. Krótkie są letnie noce. Jedna po drugiej gasły gwiazdy i szafir nieba szarzał, chłódł przed porankiem.

— — — — — — — — — — — —

W następnym roku obie przeniosłyśmy się do bardzo skromnego hotelu, gdzie jednak podłogi były z drzewa, a nie z cegły, miało się wodę bieżącą gorącą i zimną oraz centralne ogrzewanie. Joanna, dzięki zacnej pani L., miała małą posadkę pomocnicy kasjerki w jakimś zakładzie dobroczynnym z czasów wojny, co do mnie zastępowałam profesora łaciny w jednym z owych zakładów, gdzie z wielkim nakładem sił i czasu przygotowuje się najbardziej zakute głowy do matury. Obie, wielce zapracowane, widywałyśmy się rzadziej. Potem zakład, w którym pracowała Joanna, został przeniesiony na prowincję i chwilowo straciłam ją z oczu. Od czasu do czasu otrzymywałam od niej pocztówki, na które odpowiadałam kilku słowami, nakreślonemi również na pocztówce. Była to bowiem dla mnie pora ostatecznych egzaminów, obrony tezy doktorskiej, a przytem pracy w szpitalu i pracy na życie. Co gorsza, zdrowie zaczynało wypowiadać posłuszeństwo.

Po armistycjum Joanna przyjechała na parę dni do Paryża, spodziewając się słusznie, że łatwiej przyjdzie jej zasięgnąć tu wiadomości o swej rodzinie pozostałej w Wogezach. Niezmordowana pani L. poruszyła z właściwą sobie energją wszystkie sprężyny i wkrótce dowiedziałyśmy się, że matka i siostra Joanny żyją i są zdrowe. Wysłało się nawet do nich pierwszy list.

Joanna, bardzo wzruszona, zastanowiła się nad możnością powrotu do swoich.

— Matka jest dobra i rozumna — mówiła mi — ale jak jej nawet opowiedzieć to, co ja przeszłam podczas wojny?

— Zdaje mi się — zauważyłam — że i ona dużo przeszła. Wszak w Wogezach żyli pod jarzmem niemieckiem przez cały prawie czas wojny.

— Tak, ale moja matka to już inne pokolenie, nie moje. Czuje i myśli inaczej.

Westchnęłam. Było w tem sporo racji, choć nie absolutnej.

— To, coby naprożno raniło i czego już zmienić nie można, bo skończone na zawsze, lepiej zachować dla siebie, Joanno. Każdy z nas nosi w sobie groby swoich marzeń czy uczuć, tym dorobkiem nie warto dzielić się z innymi, a tembardziej z tymi, których kochamy.

— Może i tak — odpowiedziała zamyślona.

Joanna wyjechała z Paryża, a wkrótce potem spadły na mnie żałobne wieści z Polski — przez cztery lata nie wiedziałam nic o swej rodzinie — i w następstwie ciężka choroba. Wysłano mnie do Włoch, gdzie w odrętwieniu moralnem i fizycznem przeżyłam kilka miesięcy. Gdym powróciła uleczona, ale jeszcze bardzo wyczerpana, późną jesienią 1919 roku, pierwszem mojem staraniem było odwiedzić panią L., z którą straciłam kontakt podczas mej kuracji we Włoszech. Zacna powieściopisarka przywitała mnie serdecznie, napoiła wyborną chińską herbatą, nakarmiła jakiemiś doskonałemi ciasteczkami i wypytała o Włochy, które znała, nawiasem mówiąc, jak własną kieszeń.

Potem znowu ja pytać zaczęłam o nowości paryskie i o dawnych znajomych i naturalnie po paru minutach zadałam nieuniknione w naszej rozmowie pytanie:

— A Joanna Daussay? Co się z nią stało? Nie miałam nigdy żadnych wiadomości od niej, choć posłałam jej parę kart z Rzymu.

Pani L. pokiwała głową żałośnie:

— Czy ja wiem właściwie, co się z nią stało? Mojem zdaniem: zwarjowała.

— Jakto? jakim sposobem?

— Została anabaptystką i wyjechała w misji anabaptystów na wyspy Fidżi.

— Na wyspy Fidżi? Do Polinezji? Do Australji?

— No tak. Przynajmniej tak mi powiedziała.

— Ale jak się to stało? Przecież Joanna nie była nigdy anabaptystką.

— Ach! to już cała historja. Po zwinięciu zakładu, w którym pracowała Joanna, chciałam jej pomóc, aby złożyła egzamin na daktylografkę, ale nie miała do tego ochoty. Proponowałam jej, aby się nauczyła jakiego rzemiosła, także nie. Więc umieściłam ją, jako pomocnicę domową u poczciwego pisarza i dziennikarza Maurycego B. I on i żona jego, zresztą chorowita, oboje już niemłodzi, bardzo religijni i zacni. Joannie było tam dobrze, sama mi to mówiła. Aż tu raz spotykam Maurycego B. i ten mi powiada, zafrasowany:

— Wie pani, że Joanna nas porzuca?

— A to czemu? — pytam. Znalazła inne miejsce?

— Nie, mówi mi, gorzej: została anabaptystką i wyjeżdża na wyspy Fidżi.

— Co? jak? — wołam zdumiona.

— Na wyspy Fidżi. Powiada, że tam będzie nawracać ludożerców.

— I pan jej nie powiedział, że zwarjowała? — nie tłumaczył?

— Owszem, ale ona sam gada bezustannie, a mnie słuchać nie chce.

— Wróciwszy do domu, ciągnęła dalej pani L., napisałam natychmiast do Joanny, prosząc, aby zaraz przyszła do mnie. Myślałam, że jej zmyję porządnie głowę i doprowadzę ją do rozsądku. Ale przekonałam się, że mam do czynienia z pewnym rodzajem hipnozy. Jakiś zwarjowany anabaptysta, nie godząc bynajmniej na cnotę niewiast, zajmował się pozbawianiem ich zdrowego rozsądku. Joanna, żyjąca raczej mniszo, była tu bardzo podatnym materjałem. Poza tem wyzyskano jej wieczyste ambicje wybicia się ponad jej środowisko, dorównania jej jakimś legendarnym polskim przodkom. Nie mogła niczem się odznaczyć w zwykłem życiu, więc będzie święta, będzie apostołką, będzie przywracać dawną czystość pierwszych chrześcijan na świecie. Boże miłosierny! czego ja się nie nasłuchałam!... O łamaniu chleba, o chrztach w piscynach, o pogrzebach ewangelicznych!... Aż uszy więdły. Napisałam do matki Joanny — widziałam ją raz przedtem, dziwnie piękna i dziwnie rasowa staruszka, jak na prostą chłopkę — ale i ta nic nie wskórała. Biedna Joanna!...

— Biedna Joanna! — powtórzyłam, jak echo.

Jednak pamiętając o tem, że pani L. raz już omyliła się co do Joanny, postanowiłam zbadać sprawę na własną rękę, a w tym celu wypytać p. Maurycego B. Okazało się, że pani L. miała słuszność i że diagnoza jej była zupełnie trafna:

— Joanna przychodziła do nas z ogromną biblją w ręku — skarżył mi się biedny pan B., wyborny zresztą znawca Pisma św., i wykładała nam ją po swojemu, tworząc najciudaczniejsze dziwolągi. Tłumaczyła nam, że miewa objawienia i widzenia, prorokowała, opowiadała o Niniwie i Babilonie i czy ja wiem, jeszcze co?

— Ale czy robiła wrażenie nieprzytomnej, zgorączkowanej?

— Wcale nie. Egzaltowanej tylko, no i pozbawionej poczucia śmieszności, ale takich ludzi nie brakuje.

* * *

Nie udało mi się odnaleźć śladów Joanny, ona też, czy nie chciała, czy nie mogła mnie odszukać. Tylko w lat kilkanaście potem pewna moja znajoma, wracając z Tokio do Francji, via Polinezja i Ameryka, zwiedzała po drodze wyspy polinezyjskie i opowiadała mi, że uderzył ją dziwnie polski typ siostry w misji katolickiej francuskiej. Siostrę tę zwano „siostrą Joanną", lecz czy to było na wyspie Tahiti, czy na Samoa lub innej, nie pamiętała dokładnie. Mimowolnie pomyślałam wtedy o Joannie Daussay. Kto wie? Może biedna prawnuczka konfederata barskiego znalazła nareszcie spokój i ukojenie pod habitem?

KONIEC.

WIECZOROWE FRYZURY
I PRZYBRANIA GŁOWY

Bezpowrotnie minęły czasy, gdy chłopięce fryzurki paziowskie lub „à la garçonne" były równie odpowiednie na salę balową, jak na sportowe boisko. Dziś moda opowiedziała się zdecydowanie za bardziej kobiecemi fryzurami, układanemi w pukle i loki z nieco dłuższych włosów. O ile w dzień do pracy i sportu nosi się stosunkowo proste uczesanie, o tyle do wieczorowej tualety fryzura musi być specjalnie staranna i kunsztowna, dostosowana do stylu sukni i do typu danej kobiety. A więc, nie do znudzenia obnoszone „wałeczki", lecz misterne konstrukcje z loczków, okalających twarz lekką aureolą, wysoko upięte pukle, przypominające nieco fryzury z pierwszego dziesięciolecia naszego stulecia, kunsztowne loki nad karkiem i nad czołem. Mistrzowie kunsztu fryzjerskiego wysilają swą pomysłowość, aby do twarzy każdej kobiety dobrać odpowiednią dla niej fryzurę. Wszelki szablon jest w tej materji niedopuszczalny: to samo uczesanie może zdobić jedną kobietę, a szpecić drugą. Fryzur, podobnie jak kapeluszy, nie można sobie „pożyczać".

Nie dosyć na tem. Najpiękniejsza fryzurka nie będzie jeszcze dość strojną do balowej tualety, jeśli nie uzupełnimy jej jakim djademem czy stroikiem. Modę tę lansował oczywiście Paryż, niewyczerpany w tej dziedzinie, jeśli chodzi o różnorodność pomysłów. A więc nosi się kwiaty, sztuczne i świeże — lekkie przybrania z marszczonego tiulu, przepaski z lamy i brokatu, misterne djademy ze sztrasów lub — jeśli kto może — prawdziwych klejnotów: fantazje z piór strusich, rajerów i rajskich ptaków, siatki ze złotego sznureczka lub z pereł za woje z drapowanej gazy, brylantowe gwiazdy i półksiężyce, ozdobne grzebienie z szyldkretu i sztrasów a wkońcu — rodzaj welonów z koronki lub lekkiej gazy.

Jak widzimy, wybór jest ogromny. Cała trudność polega jedynie na tem, że przybranie fryzury musi być ściśle dostosowane do stylu, linji i koloru sukni. Złota siatka do taftowej krynoliny lub lekkie kwiaty do tualety z czarnych paljetów, będą wyglądać śmiesznie i nieharmonijnie. Podobnie każda z pań powinna zdać sobie sprawę, jaki rodzaj przybrania harmonizuje z typem jej urody, a nadewszystko z jej wiekiem. Unikajmy różowych kamelij, jeśli przekroczyłyśmy czterdziestkę, zarówno jak wspaniałych rajerów, jeśli mamy lat osiemnaście.

Naogół można ustalić następujące prawidła: dla młodych panienek, a w szczególności do powiewnych sukien z gazy lub tiulu najładniejsze będą kwiaty i dyskretne „przepaski ze złota lub lamy. Dla mężatek i kobiet trochę starszych stosowne będą przybrania z klejnotów i z piór. Do sukien z lamy, paljetów i brokatu najodpowiedniejsze są przybrania z tego samego co suknia materjału.

Kwiaty na wieczorowych fryzurach widuje się obecnie nietylko z jedwabiu czy aksamitu, lecz również z piór, co wygląda bardzo oryginalnie. Z piór również nosi się całe ptaszki z rozłożonemi skrzydłami, wyglądające jakby w locie przysiadły na chwilę na włosach. Większość upięć z kwiatów i piór umieszcza się nad czołem na szczycie głowy, rzadziej z boku za uchem. Natomiast wszelkie djademy i przepaski nosi się dosyć wysoko, a nie jak dawniej na czole. Warkocze z lamy, noszone tak chętnie w zeszłym roku, są już dziś zbyt zbanalizowane.

Do sukien wieczorowych, noszonych do teatru, do restauracji lub na dancing obowiązują małe kapelusiki, stanowiące coś pośredniego między normalnym kapeluszem a stoikiem. Są to płyciutkie czapeczki z paljetów, jedwabiu lub gazy, ozdobione z brzegu dużym pękiem fantazyjnych kwiatów, lub lekkim pióropuszem ze strusich piór. Nosi się również maleńkie toczki, wykonane w całości z aksamitnych płatków kwiatowych, uzupełnione woalećzką, a także toczki w kształcie hełmu, pokryte kompletnie bogatym pióropuszem z kogucich, metalicznie lśniących piór. Bardzo piękną kreację lansowała jedna z firm paryskich: lekki zawój, spięty u góry dwoma dużemi, rozchylającemi się na boki liśćmi z płasko ułożonych strusich piór. Wszystkie te wieczorowe kapelusiki muszą być bardzo lekkie i zredukowane do minimum, aby odsłaniały całą niemal, dostosowaną do nich fryzurę. W rezultacie zasługują one na nazwę kapeluszy tylko o tyle, że nosi się je na głowie, której zresztą zupełnie nie osłaniają. Nie trzeba dodawać, że niezbędnym do nich dodatkiem jest wytworna limuzyna, która zawiezie nas do teatru lub dancingu — nie narażając kunsztownej fryzury na zniszczenie w kontakcie z niedelikatnym i bezwzględnym podmuchem zimowego wiatru.

Lady Like.



Piękną wieczorową fryzurę dopełnia ozdobny grzebień ze sztrasów.



Piękna swą młodością i świeżością June Lang nosi grzywkę i chętnie zdobi swe włosy świeżemi kwiatami.



Na lewo: Oryginalne uczesanie z asymetrycznie ułożonych loczków.

W DRODZE NA BAL...
UROCZA ANN SOTHERN.



KARŁY i OLBRZYMY JAPOŃSKIE



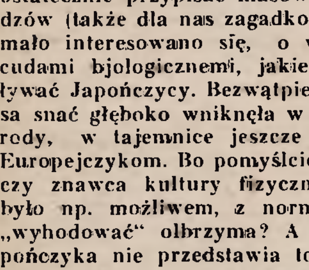
Na lewo: Oto ryba - potwór, wyhodowana przez Japończyków.



W kole: Zapasy olbrzymów japońskich „sumotori".

Zdawałoby się, że dzięki wiekowym wynikom wiedzy przyrodniczej udało się ludzkości zapoznać z wszystkiemi siłami przyrody i wyjaśnić wszystkie zjawiska życiowe; tak jednak nie jest, nadal bowiem na terenie organizmu ludzkiego, zwierzęcego i roślinnego nie jedno jeszcze zostaje zagadką. Wspomnijmy tylko o Indjach, o ich fakirach, których eksperymenty dowodzą, że znają oni i opanować umieli pewne siły ludzkiego ciała, które dla nas stanowią wielką niewiadomą. Bo jakże wytłumaczyć choćby owe sztuki głodomorów zakopywanych w ziemi, którzy potrafią dowolnie zahamować wszelkie procesy ciała, obniżyć do minimum czynność serca, co przecie normalnie równa się śmierci. Jak zrozumieć absolutną nieczułość na ból, niewrażliwość tkanek ciała na ogień, skaleczenia — owych fanatycznych szczepów himalajskich, wreszcie, czem wyjaśnić sztuki Indów, wyczarowujących z ziarnka — momentalny wzrost drzewa, jego kwitnienie i owocowanie?

Dużo pisano już o tych mistycznych dziwach Indów, których część sztuk można ostatecznie przypisać masowej hypnozie widzów (także dla nas zagadkowej), ale naogół mało interesowano się, o wiele większemi cudami bjologicznemi, jakie umieją wywoływać Japończycy. Bezwątpienia, ta żółta rasa snać głęboko wniknęła w tajemnice przyrody, w tajemnice jeszcze zgoła nieznane Europejczykom. Bo pomyślcie: któryż lekarz, czy znawca kultury fizycznej uwierzy, by było np. możliwem, z normalnego dziecka „wyhodować" olbrzyma? A jednak dla Japończyka nie przedstawia to trudności, jak tego dowiedli i do dziś dowodzą. Ich sławne trupy zapaśników, zw. „Sumotori", olbrzymy dosięgające wzrostem 2-ch metrów, a wagą do czterysta funtów, są produktem sztucznej hodowli. — Trzeba pamiętać, iż Japończycy należą do najdrobniejszej przecież rasy, a Sumotori nie są to przypadkowe kolosy z tłuszczu, ale raczej osobniki z żelaza, o niesłychanej sile i giętkości mięśni. O ile w Europie mało okazuje się zainteresowania dla tego prawdziwie biologicznego cudu, o tyle Ameryka zachwyca się i entuzjazmuje dla japońskich zapaśników. Charakterystyczne jest, że inteligencja Sumotori'ów wzrasta w odwrotnym stosunku do ich wagi.



Karłowata sosna japońska i osobliwy kaktus.

Naprożno starano się zbadać, jakiemi środkami Japończycy osiągają takie rezultaty hodowli; stwierdzono tylko, że pomocą tu jest dieta, na którą składa się: olej bawełniany, soja, wielkie ilości wołowego mięsa i co najdziwniejsze — alkohol, używany od najwcześniejszych lat, jako środek przedtreningowy.

Przeciwieństwem do tych ludzkich olbrzymów są sztuczne wyhodowane karły świata zwierzęcego i roślinnego. Japończyk od dawna znany jest jako wyśmienity hodowca i ogrodnik, a także, jako lubownik osobliwości. Sławne są jego sztuczne, otrzymane krzyżowaniem maleńkie mewy, złote rybki, dziwacznych kształtów, owe tańczące myszki, których wieczne kręcenie się polega na defekcie mózgu i t. p., ale największą rozkoszą Japończyka są sławne, miniaturowe ogródki. Taki ogródek, stworzony na wzór ogrodów świątyń mieści na glinianej tacce, wielkości 10×25 cm maleńkie wzgórza, skały, mostki, altany i miniaturową wegetacje.

Japońscy ogrodnicy umieją prawie ze wszystkich gatunków drzew, jak sosny, wiśni, klonu itp. stwarzać karłowate drzewka, które nawet w ciągu całego wieku osiągają zaledwie pół metra wzrostu. Takie karłowate drzewka nie są zresztą jakiemiś kalekami, lecz prawdziwemi drzewami, zdolnemi do owocowania. Co tu jest dziwnem, to to, że stosunkowo duża roślina może się wyżywić i rozwijać, rosnąć na odrobinie ziemi, jaka mieści się w maleńkim wazonie.

Inną sztuką, z której Japończyk jest dumny, to przemiana drzew, raczej zmiana kształtów roślin, przedewszystkiem majestatycznych sosen, w pełzające krzewy. Istnieje np. w świątyni Karasaki sosna, wysoka na 90 stóp, której gałęzie pełzające dosięgają aż 290 stóp Z tego jednak, co zaobserwowano wszystkie te anomalje roślinne są w dużej mierze rezultatem kultury głodowej. Oto ogrodnik całemi latami hamuje wzrost rośliny, nie dopuszczając do jej pnia dostatecznych soków. Prawie wszystkie karłowate drzewa tkwią w płytkich naczyniach porcelanowych, których glazura nie przepuszcza powietrza do ziemi. Małą tę ilość ziemi, więc nie pożywną, podlewa się skąpo, a pień od młodości ściska się, krępuje, nacina, wykręca; słowem dręczy się go, jak Chinka swe biedne nóżki. Wynikiem takich tortur jest zahamowanie wzrostu drzewka, w związku z pokrzywieniem pnia. Boczne, zbyt rozrośnięte gałęzie obcina się, a pozostałe wiążąc zmusza do poziomego położenia.

Jeszcze inny istnieje „trick" ogrodniczy. O pewnym gatunku egzotycznej palmy, którą sadzą często w świątyniach japońskich, wiadomo, że zmuszają ją do zaaklimatyzowania się w chłodniejszym klimacie w ten sposób, iż od czasu do czasu wbijają w jej pień żelazny gwóźdź... Nie jest to niemożliwem, przecie Singalez także wypala w pniu swej palmy kokosowej dziurę, sprawiając pewnego rodzaju ból drzewu, które przestaje owocować

Takie eksperymenta niejednemu biologowi zabijają ćwieka w głowę, pozostając ciekawą zagadką dla ogółu.

Z. K.

ŻYCIE
ARTYSTYCZNE I TOWARZYSKIE

BRUKSELSKI SUKCES KIEPURY



Ostatni pobyt naszego słynnego rodaka w Brukseli przyniósł mu nowe laury zdobywając serca pięknej belgijskiej stolicy. Drugi ten skolei występ zakończył się jeszcze większym sukcesem, niż za pierwszym razem podczas jego koncertu w „Palais des Beaux Arts". Odbył się on w salonach polskiego poselstwa. w gościnnym domu pp. Jackowskich Na koncercie zjawiły się najpopularniejsze postacie towarzystwa belgijskiego, a więc m. in. długoletni minister spraw zagranicznych Paul Hymans, ministrowie oświaty Jules Hoste, oraz spraw gosp. Van Isacker. szef jednego z najwybitniejszych rodów belgijskich ks. de Merode, ks. d'Ursel, ks. Croy-Solre, gubernatorzy dwóch największych prowincyj belgijskich, Frandrji i Brabantu. Również licznie reprezentowany był dwór królewski, a korpus dyplomatyczny z ambasadorami Francji, Ameryki, Anglji. Włoch i Japonji na czele, zjawił się w komplecie. Zresztą trudno wymienić wszystkich, wspomniemy tylko jeszcze o reprezentantach armji świata finansowego, artystycznego i dziennikarskiego, jak również o licznych gościach z polskiej kolonji i polskich sfer urzędowych. Wspaniałe salony poselstwa pełne fraków i wieczorowych tualet, wymarzonem były tłem dla występu wielkiego śpiewaka. Przybycie jego wzbudziło szczery entuzjazm u obecnych, mimo to zmęczony 3 g. próbami w operze, Kiepura zamierzał zaśpiewać dopiero po wypoczynku. Wkońcu na liczne prośby, ulegając „przemocy" swych entuzjastów i przeniesiony przez nich do drugiego salonu, wielki śpiewak rozpoczął swój koncert. Śpiewał wspaniale, pełen werwy, a audytorjum nagradzało go rzęsistemi brawami. Po skończeniu koncertu nastąpił generalny atak miłośników autografów, a chyba jedynie dzięki posiłkom w postaci jego uroczej żony zawdzięcza Kiepura, że wyszedł cało z rąk swych wielbiceli! Dochód z koncertu przeznaczony został całkowicie na szkolnictwo polskie w Belgji. Na naszem zdjęciu widzimy Jana Kiepurę oraz żonę jego, Martę Eggerth, w towarzystwie wielkiego przyswych wielbicieli! Dochód z koncertu przewodniczącego Komitetu, który zorganizował koncerty mistrza w Brukseli.

„Dama Kameljowa" w Katowicach

Teatr im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach wystawił ostatnio znaną sztukę Aleksandra Dumasa, syna, „Damę Kameljową", w której grze i reżyserji znaleźć było można sporo ciekawych i dodatnich momentów. Duvala ojca grał w dobrej charakteryzacji Janusz Ostoja-Staszewski, którego widzimy na naszem zdjęciu.

Fot. Cz. Datka — Katowice.



ZARĘCZYNY SŁYNNEJ TENISISTKI



Niema bodaj kraju, w którymby drobne nawet wydarzenia z życia znanych sportowców budziły tyle zainteresowania, co w Anglji. Nic też dziwnego, że wiadomość o zaręczynach znanej tenisistki miss Betty Nuthall z mr. D. A. Barclay, pochodzącym z Paisley Szkocja , wzbudziła wielkie zainteresowanie w sferach sportowych. Miss. Nuthall jest jedną z najlepszych tenisistek Anglji, a jak widzimy na naszem zdjęciu, posiada również przystojną i miłą buzię!

Fot. Wide World.

Z WILEŃSKIEJ »LUTNI«

Wileński Teatr Muzyczny „Lutnia" może się poszczycić nowym sukcesem artystycznym. Oto wystawiono świetną operetkę Abrahama „Przygoda w Grand Hotelu", w której czołową rolę gra wybitny tenor, Marjan Wawrzkowicz, obdarowany pięknym, pełnym głosem i niepospolitym wdziękiem osobistym, zyskując ogólne uznanie. Na zdjęciu M. Wawrzkowicz.



ZAŻYWNE CZY ETERYCZNE

Waga kobieca, ta całkiem realna, wyrażająca się w kilogramach, ma w dobie obecnej ściśle określone granice, których szanująca się kobieta nie przekroczy, oczywiście jeśli nie chce ściągnąć na siebie odjum niemodnej i niewspółczesnej. Pod tym względem los obchodził się łagodniej z naszemi antenatkami, nie wymagając od nich przepisanej wagi.

Okrągłemi kształtami czarowała praojca Adama już Ewa w raju, ale któżby aż tak daleko w przeszłość sięgał!

Czy piękną Kleopatrę lub mądrą i urodziwą Aspazję ktokolwiek o wagę pytał? To pewne, że każde słówko tych wielkich miłośnic ważyli na wagę klejnotów taki Antonjusz lub Perykles, ale pocóż wspominać to wszystko i psuć sobie krew, że dzisiaj już niema kochanków w tak wspaniałym stylu, którzyby królestwa do nóg rzucali swym bogdankom (każdej wagi) za jedno upragnione słówko.

Może i strój ówczesny (chlamida i tunika spływająca w malowniczych fałdach) sprawiał, że kobieta — bez względu na wagę — przypominała Wenus wyszłą z piany morskiej.

I bez tych akcesorjów starożytności — kobiety w średniowieczu też nie ceniono według żywej wagi. Nie przeczę, że mało się znajdzie dzisiaj kandydatek, któreby się chciały przenieść w owe mroczne, ponure życie średniowiecza. Ogrom odpowiedzialności i obowiązków spoczywał wówczas na barkach kobiecych. Współczesne kobiety dumne są ze swej samodzielności i posiadania własnego zawodu. Czyż kobieta w średniowieczu w ramach swego gospodarstwa domowego nie łączyła w sobie kilku zawodów? Przemysł domowy zastępował wszakże późniejszą produkcję fabryczną, toteż często gospodarstwo domowe było niejako minjaturą fabryki żyrardowskiej — ekspozyturą fabryki bielskiej i filją pralni chemicznej zarazem — już nie mówiąc o przyczynku działu wiejskiego (obora, spichlerz, pasieka itp.). Przytem kierowanie czeladką dość liczną — to też nie bagatela. Dziś jedna służąca czasem o mało na drugi świat nie wyprawi pani domu, a wtedy potrafiła kobieta dać sobie radę z całą rzeszą służby. Jej nerwy były widocznie bardziej wytrzymałe (dzięki lepszej tuszy) a i też służba powolniejsza rozkazom. Nietylko swe gospodarskie powinności spełniała kobieta w średniowieczu. Była ona matką sporej gromadki dziatek (świadome macierzyństwo spało sobie snem zimowym, najwyżej słyszało się tu i ówdzie o pasie cnoty). Jeśli do tych obowiązków dodamy jeszcze obowiązki żony — (towarzyszki już bardzo rzadko) — to przyznajmy, że nie pozostawało wiele czasu dręczonym kobietom na przemyśliwanie o swej tuszy.



Powyżej: Portret kamienny Joanny de Bourbon na gmachu sądu w Poitiers.



Powyżej: Portret pani Boucher d'Orsay w stroju westalki, pendzla Raoux.

Poniżej: »Flora« Tycjana z galerji Uffizzich.



Na lewo: Portret kobiety przez Holbeina.



To ponure średniowiecze cechuje jednak najidealniejszy, najpiękniejszy kult kobiet, o jakim się nam nawet nie śniło. Kobiety umieszczone na najwyższym piedestale, opiewane w pieśniach minnesängerów i trubadurów — cel westchnień i pragnień błędnych rycerzy. Ktoużby się dziś chciało tak beznadziejnie i tak konsekwentnie wzdychać do owych „princesses lointaines" (dalekich księżniczek) i t. p. nieuchwytnych zjaw? A już napewno nikt mnie nie przekona, że znalazłby się dzisiaj rycerz jak Delorges (bohater Szyllerowskiego poematu p. t. „Rękawiczka"), któryby się na wezwanie swej damy rzucił między srogie lwy, by podnieść jej rękawiczkę. Kunigundy i dziśby się znalazły, ale... o Schillera trudno!

Tak więc widzimy, że pod niektóremi względami nie dorośliśmy do średniowiecza. Miłość była zaprawdę idealna i od ziemskiej powłoki niezależna, a cóż dopiero od prozaicznej wagi.

Epokę renesansu cechowała bujność, ba nawet rozlewność kształtów. — Śmiem twierdzić, że gdyby nie zaokrąglone kształty, nie mielibyśmy ani Rubensa ani Tycjana!

Rzućmy zasłonę na owe piękne Lucje, Betryce i Lukrecje, których żadne nakazy wagi nie krępowały i przenieśmy się w ową beztroską, radosną epokę rokoka. Z nizin tego szarego padołu spoglądamy na was zazdrośnie, nadobne figurynki o wysokopiennych, piętrowych fryzurach, zdobnych w najrozmaitsze okazy fauny i flory. Czarujące kobiety z uroczą Djaną de Poitiers — pełną wdzięku Lavallière — z królewsko piękną Pompadour — z rozkoszną Dubarry na czele... Wam nikt wagi nie dyktował, zato wy dyktowałyście królowi słońca i królom księżyca, a kaprysem waszym zmieniałyście bieg historji. I cóż to mogło kogoś obchodzić, że krenolina kryła parę kilogramów wagi mniej lub więcej? Ona (krenolina), która do ostat-

niej chwili urodzin potomka w niepewności utrzymywała całe otoczenie, ona, która nierzadko pod swe opiekuńcze skrzydła brała kochanka w opałach — ona nie potrafiłaby ukryć mniejszego czy większego defektu przyrodzonego? Z tego punktu rzecz biorąc, była sobie krenolina wcale miłem urządzeniem. A przytem nadając kobiecie pozór niezdobytej fortecy — tembardziej upragnionem czyniła jej zdobycie.

Bez względu na wagę osobistą miały już co dźwigać na sobie te piękne cacka zdobnicze. Dźwigać to jeszcze pół biedy, ale gorzej ścigać, choćby nawet szczerozłotem „grattoir" pewne żyjątka w srebrnobiałych perukach. Tych łowów już nie pozazdrościmy kobiecie rokoka. Pozazdrośćmy jej jednak niezrównanych tańców, czarownego menuetta i gawota, a nadewszystko tego, że oko jej mogło spocząć na równie malowniczym aspekcie dwornego kawalera, którego barwny strój rywalizował o lepsze ze strojem damskim (pożal się Boże, co za monotonja dzisiaj pod tym względem panuje u mężczyzn!).

Zastanawia mnie drobny szczegół, czy ówczesna moda głęboko dekoltowanych biustów wpływała hartująco na organizm kobiety, czy też szerzyły się katary i czy wobec masywnego obwarowania kończyn dolnych i obyczaje były bardziej surowe? Ten temat należy do specjalistów. Pewnem jest jednakowoż, że piękne, krągłe panie nie zapełniały gabinetów lekarzy neurologów, jak dzisiejsze „płaskorzeźby".

I jeszcze jedno jest bezsporne. Takich Ninon de Lenclos nie wydały już wieki późniejsze. Nawet Mistinguette nie dotrzymuje jej miejsca, bo niewiadomo jeszcze czy ta ostatnia, gdy dosięgnie 70-ciu wiosen tak odpowie na zadanie jej pytanie, jak owego czasu — najpiękniejsza i wiecznie młoda Ninon de Lenclos. „Do ilu lat potrafi kobieta kochać?" — zapytano wówczas 70-ciolatkę. — „O to musi pan spytać starszą ode mnie" — brzmiała odpowiedź tej „grande amoureuse". I cóż dziwnego, że syn jej pozbawił się życia na wieść, że we własnej zakochał się matce! Dziś — pomimo uznanych Freudowsko-Edypowskich kompleksów — kronika policyjna nie notuje samobójstw z podobnych przyczyn. Nie znam wagi osobistej Ninon de Lenclos, wątpię czy ona sama ją znała — to jednak jest mi wiadomem, że eliksiru wiecznej młodości pozazdrości jej cały świat kobiecy, a niejedna właścicielka salonu de beauté oddałaby cały majątek, by osiągnąć jej tajemnice wiecznego powodzenia. (Oczywiście, że Elżbieta Arden dałaby za to nagrodę we funtach szterlingach, p. X. Y. tylko w rodzimej walucie). Nie ulega kwestji, że nie spotykamy dziś tak młodych „staruszek", jak wówczas!

I za czasów dyrektorjatu nie suszyły sobie kobiety głowy wagą. — Spożywały różne frykasy i wychodziło im to na zdrowie. Nie zdrowie. Nie zmniejszyła się przez to bynajmniej miłość Napoleona do Józefiny lub powiedzmy admirała Nelsona do Lady Hamilton.

Kobiety 19 wieku wykazują naogół solidną budowę i „podbudowę". Owe „pillules orientales", pigułki czy pastylki tak silnie reklamowane przez szereg lat po wszystkich dzien

Dokończenie na str. 31-ej.



Na prawo: Piękna kobieta z końca XIX wieku. Portret pendzla Jules Lefèbvre.



Na lewo: A oto postać nowoczesnej pięknej kobiety, o szczupłych linjach.



Powyżej: Kobieta z czasów dyrektorjatu, pani Richemond, pendzla Davida.



Powyżej: Helena Fourment-malowana przez swego narzeczonego Rubensa.



W kole: »Pełna moda« z XVII wieku — Marja Mancini przez Mignarda.

PRZEPISY
odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

WINNA POLEWKA. 3/4 litra białego wina stołowego i 1/4 l wody zagotować z kawałkiem cynamonu, jednym goździkiem i kawałkiem skórki z cytryny; po zagotowaniu przecedzić i postawić ponownie na ogniu. Osobno utrzeć dokładnie 2 żółtka i 1 całe jaje z trzema łyżkami cukru i dolewać po trosze gorącego wina, ubijając pilnie. Kiedy już wszystko wino zmieszane z żółtkami, stawia się polewkę ponownie na ogniu i ubija tak długo, aż się zupa zacznie podnosić i utworzy się gruba piana. Zupę podaje się natychmiast w filiżankach, osobno biszkopty. Zupa ta polecana jest ozdrowieńcom.

KOMPOT Z FIG I SUSZONYCH ŚLIWEK. 20 dkg suszonych śliw i 10 dkg fig wymyć dokładnie w ciepłej wodzie, następnie zalać wodą do przykrycia, dosypać łyżkę cukru i odstawić na 12 godzin. Owoce gotuje się przez 15—20 minut, poczem wyjmuje się je na kompotjerę, sos zaś zagęszcza się łyżeczką mąki ziemniaczanej lub innej jakiejś mączki do tego celu używanej, zagotowuje i polewa nim owoce. Podaje się dobrze zastudzone z keksami.

SOS ANGIELSKI DO ZIMNYCH MIĘS. Sos ten sporządza się zazwyczaj w jesieni, kiedy pomidory są najlepsze, no i najtańsze. Jednak i teraz można go sporządzić w domach, gdzie dobrze zagospodarowana spiżarka ukrywa niejedną flaszkę z marmoladą pomidorową, w następujący sposób: 2 duże cebule pokrajać w ćwiartki, dać łyżkę oliwy i łyżkę wody, następnie udusić, podlewając, aby zmiękła bez zrumienienia, poczem się ją przeciera przez gęste sito do kamiennego lub grubego, dobrze polewanego garnka. Dalsze dodatki są: pół litra marmolady pomidorowej, 1/8 l mocnego octu winnego, 15 dkg cukru, 10 dkg dobrej musztardy, po pół małej łyżeczki soli, pieprzu mielonego, imbiru i cynamonu, 1 goździk miałko utłuczony, 2 listki bobkowe itp. Wogóle dodaje się potrosze wszystkich tych korzeni, które w danym domu są lubiane. Dobrze wymieszany sos gotuje się przez pół godziny, aby trochę zgęstniał, poczem składa się go do słoików. Sos jest doskonały i przechowuje się w suchem miejscu przez czas nieograniczony.

GALANTYNA Z CIELĘCEGO MOSTKU. Z niezbyt grubego mostku cielęcego wyjąć kości i chrząstki, grubszą stronę zbić pałką, następnie natrzeć z obu stron solą i pieprzem i odstawić, a tymczasem przygotować farsz: 1/2 kg mięsa cielęcego lub chudego wieprzowego przemleć dwa razy wraz z namoczoną w mleku bułką, zmieszać z 6 dkg masła utartego z dwoma żółtkami i 1 całem jajem, dodać soli, troszkę startej skórki cytrynowej. Wszystko razem uciera się, aż masa zbieleje. Przygotowany mostek rozkłada się na desce i tą stronę, z której wyjęto kostki, pokrywa się farszem, na farszu zaś układa się płatki szynki, ozora, twardych jaj, gęsich wątróbek i obłupanych pistacyj, zwija pieczeń ciasno i owiązuje szpagatem, poczem parzy się ja wrzącą wodą, aby pozostała biała. Rondel wykłada się plasterkami słoniny i pokrajanemi jarzynkami, układa na tem pieczeń, okłada ją również słoniną, polewa masłem i dusi na mocnym ogniu około pół godziny, poczem się ją podlewa rosołem i szklaneczką wina i dusi dalej do miękka, uważając, aby zawsze była równa ilość sosu pod pieczenią. Gotową pieczeń ostudza się w rondlu.

Po zupełnem ostudzeniu wyjmuje się mięso, odrzuca plasterki słoniny i kraje w plastry. Sos z pod pieczeni przecedza się po poprzedniem zdjęciu z niego tłuszczu. Każdy plaster pieczeni macza się w sosie, który należy w cieple rozpuścić, bo się łatwo ścina i układa zgrabnie na półmisku, ubierając siekanym auszpikiem i zieloną pietruszką. Osobno podaje się sos majonezowy.

Ta sama pieczeń podana być może na gorąco, polana gęściej ugotowanym sosem, przetartym wraz z jarzynami. Jako dodatek kluseczki bułczane lub francuskie.

GRZYBEK WIEDEŃSKI. 5 żółtek rozetrzeć z 12 dkg mąki, dwoma łyżkami cukru i łyżką roztopionego masła, posolić odrobinę i rozprowadzić szklanką (1/4 l) mleka, dodać parę dkg rodzynek i kilka tłuczonych migdałów, wymieszać z pianą z 5 białek i wylać na rozpalone na brytwance masło, wstawić do gorącego piecyka na 15—20 minut, a gdy się zrumieni, porozrywać ciasto dwoma widelcami na małe kawałki, wysypać na półmisek i zaraz podawać posypane suto cukrem z wanilją.

KRUCHE CIASTECZKA TZW. „BABCINE". 5 dkg cukru, szczypta soli, 10 dkg masła i 15 dkg mąki rozkruszyć w misce, dodać łyżkę kwaśnej śmietany i zagnieść szybko na ciasto. Wyłożone na deskę wałkuje się na grubość grzbietu noża, smaruje całe ciasto białkiem, posypuje grubym cukrem kryształowym zmieszanym z tłuczonemi migdałami (10 słodkich, 2 gorzkie). Z ciasta wykrawa się za pomocą cienkiej szklanki lub foremek półksiężyce, układa na posypane mąką blasze i piecze na ciemno-złoty kolor. Są doskonałe i wielokrotnie wypróbowane.

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI GOSPODARSKIE



Przyrządzanie kawy nie jest bynajmniej rzeczą łatwą i jest przedmiotem specjalnych „studjów". Nic w tem dziwnego, bo przecież od chwili, jak Europa zapoznała się z tym tureckim przysmakiem, hołduje mu, jak mało jakiemu napojowi. Dobroć kawy zależy nietylko od jej gatunku, ale przedewszystkiem od sposobu naparzania. Zreprodukowana obok maszynka daje właśnie gwarancję dobroci smacznego napoju. Składa się ona z sagana na wodę, do którego wmontowuje się rurkę, zakończoną filtrem. Gotująca się woda przedostaje się do filtra i bez dostępu powietrza naparza znakomicie zawartą w nim kawę, wlewając się wkońcu do podstawionego dzbanuszka.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 5	Styczeń — 31 dni
NIEDZIELA **24** Tymoteusza	Rosół z groszkiem ptysiowym. Omlet z grzybkami /z konserw lub suszone/. Kapłon nadziewany farszem mieszanym z czerwoną kapustą lub kompotem. Strudel z twarożkiem. Kolacja: Hachée z mięsa rosołowego.
PONIEDZ. **25** Nawr. św. Pawła	Zupa z włoskiej kapusty. Płatki z szynką. Kotlety wieprzowe duszone z ryżem. Osie gniazda /legomina drożdżowa/. Kolacja: Galantyna z mostku cielęcego z majonezowym sosem.
WTOREK **26** Pauliny	Barszcz na rosole. Mięso z rosołu z chrzanem. Kaczka pieczona z jabłkami. Kompot mieszany z kruchemi ciastkami. Kolacja: Parówki w pomidorowym sosie.
ŚRODA **27** Jana Złotoust.	Zupa węgierska "gulasz". Knedel bułczany z grzybowym sosem. Filety z zająca w śmietanie z krokietami z ziemniaków. Grzybek wiedeński. Kolacja: Pasztet zajęczy ciepły.
CZWARTEK **28** Karola Wielk.	Zupa z jarzyn przecierana z grzankami. Czernina z zająca z kluskami. Befsztyki z jarzynkami. Legomina ryżowa. Kolacja: Rizotto na podróbkach z gęsi.
PIĄTEK **29** Franciszka Sal.	Grzybówka z płatkami. Bulwy i salsefia smażona w cieście. Szczupak pieczony w maśle sardelowem z tartemi ziemniaczkami. Pierożki z ciasta parzonego z morelami /suszone/. Kolacja: Śledzie z pieczonemi ziemniaczk.
SOBOTA **30** Martyny	Rosół z kaszką. Kotleciki z mięsa rosołowego z pomidorowym sosem. Ozór peklowany z groszkowem purée. Kompot z suszu. Kolacja: Omlet z szpinakiem.

HOCKI-KLOCKI

Rozwiązania z N-ru 3-go.

WIEŻA W PIZIE.

Kula znajdzie się w spoczynku po przebyciu 63 m 55½ cm. Wynik ten odpowiada dość dużemu przybliżeniu.

KOTY I MYSZY.

Również pięć kotów.

STRZASKANA TARCZA.



Rysunek przedstawia rozwiązane zadanie.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

NOWY WSPÓLNIK.

Pan Wróbel i pan Kanarek postanowili przyjąć na trzeciego wspólnika pana Kruka. Kapitał włożony w interes przez pana Wróbla był półtora raza większy niż kapitał włożony przez pana Kanarka. Pan Kruk miał wpłacić 2.500 zł., które tak należało podzielić między obu panów, aby udziały wszystkich trzech wspólników były jednakowe.

Ile pieniędzy otrzymał od pana Kruka pan Wróbel, a ile pan Kanarek?

OKRĄGŁY STÓŁ.

Siedmiu przyjaciół, Adam, Bohdan, Czesław, Dawid, Edward, Feliks i Gustaw spędzali razem piętnaście dni nad morzem, zawsze jedząc śniadanie przy wielkim okrągłym stole, zarezerwowanym specjalnie dla nich. Postanowiono, aby żaden z przyjaciół nie miał przy stole dwukrotnie tych samych dwóch sąsiadów. Właściciel hotelu, którego proszono o ułożenie odpowiedniego planu siedzenia przy śniadaniu w ciągu tych piętnastu dni, nie potrafił niestety tego zrobić — proponujemy więc czytelnikom wyznaczyć miejsca przy stole panom tak, aby żądany warunek był spełniony.

HUMOR ZAGRANICZNY

ENERGICZNA SZEFOWA CYRKU.



— Cóż za idjota wypuścił z klatki tego lwa?... **(„Ric et Rac")**

CZEGO IM JESZCZE POTRZEBA?



Bracia sjamscy w urzędzie paszportowym: — Nie, proszę pana, jeżeli chodzi o znaki szczególne, to nie mamy żadnych!... **(„Ric et Rac")**

WYMIARY ŁĄKI.

Prostokątna łąka ma wymiary, mające się do siebie jak 4 do 3. Jeśli się każdy wymiar powiększy o 2 cm, to powierzchnia łąki będzie wynosić 1344 m². Jakie są obecne wymiary łąki?

ZADANIE DLA TOMCIA.

Pan Słowik lubi dawać swemu synkowi, Tomciowi, zadania. Napisał liczbę 111,777,999 i zaproponował mu wykreślenie z niej sześciu cyfr tak, by powstałe po dodaniu dały 20. Tomcio jest w kłopocie — czy można to zrobić?

Dokończenie ze str. 8.

— Jak pani sądzi, czy w filmach będzie pani wyłącznie tańczyć, czy też i grać większe role?

— Ależ oczywiście, że chodzi tu o role. Prawdopodobnie będą to role tego rodzaju, iż wyniknie z nich konieczność tańczenia. Na próbnych zdjęciach w Londynie nagrywałam sceny taneczne i djalogowe. Uczę się też na gwałt języka angielskiego. Pozatem wytwórnia gwarantuje mi przez pierwsze pół roku pobytu w Hollywood dwóch profesorów — języka angielskiego i profesora gry filmowej, którzy będą uzupełniać moje wiadomości.

— Oczywiście wielki kłopot z tym angielskim...

— Nie tak okropny wilk, jak go malują — żartuje panna Tosia. — Zresztą coś niecoś znam już ten język. Uczyłam się go jeszcze jako dziesięcioletnie dziecko, również w bardzo dziwnych okolicznościach... W czasach wojennych bawił w Polsce ambasador Stanów Zjednoczonych p. Gibbson, który bardzo się opiekował polskiemi dziećmi, a zwłaszcza dziećmi, uczącemi się w szkole baletowej warszawskiej Opery. Ja wówczas byłam najmłodszą uczenicą; mając lat dziewięć wyglądałam najwyżej na sześć. Ambasador Gibbson polubił mnie bardzo, chciał zabrać wogóle ze szkoły baletowej i wysłać do Anglji na studja. Sprzeciwili się temu rodzice. Oczywiście mnie jako dziecku bardzo się podobały te projekty wielkich podróży i... w tajemnicy przed rodzicami uczyłam się ze starszą koleżanką angielskiego. Te dziecinne marzenia teraz mają się częściowo urzeczywistnić...

— Dopiero dziś — zamykam myśl rzuconą przez pannę Tosię — ten sam czas, który porywa i przynosi marzenia, objawił przed panią nowe projekty, inne wyjazdy i wielkie nieznane jutro.

— Tak, nieznane jutro... — szepcą usta Tosi Nowickiej.

Romit.

Dokończenie ze str. 29.

nikach przy przekonywującym akompanjamencie wizerunku „przed użyciem" i „po użyciu" — świadczą, że i w okresie przed wielką wojną światową zażywne kształty były w cenie i że nie eteryczne sylfidy, ale raczej masywne kobiety z krwi i ciała były realnem pragnieniem świata męskiego.

Powojenny okres, dokonywując tylu przewartościowań dokonał i zamachu na uświęconą tradycją sylwetkę kobiecą. Wprowadzona moda à la garçonne starała się jednym zamachem przedzierżgnąć babcię w swoją własną wnuczkę, co jej się przy pomocy kusych po kolana sukienek i ściętych włosów przynajmniej w połowie udało, jeśliby sądzić tylko po odwrotnej stronie medalu (sylwetki kobiecej). Waga nie może ulegać odtąd zbyt gwałtownym fluktuacjom, musi się ona trzymać w ściśle określonych granicach.

Naogół obowiązywała w ostatnich paru latach waga gwiazd filmowych: 56 kg i ani dkg więcej, brzmiały nakazy ostatnich lat. Chcąc osiągnąć ten ideał wagi kobiecej, potrzebna była niemała doza samozaparcia i samoudręki. Poszły w odstawkę ciastka, lody, kremy i inne smakołyki. Listek sałaty, garsteczka szpinaku, plasterek pomidoru — zastąpić musiał głodującym modelom smaczne i sute potrawy. Kąpiele odtłuszczające, sporty, punktrollery i inne jeszcze środki odtłuszczające, których tu wcale zdradzać nie myślę — dokonały reszty, by zwykła śmiertelniczka pod względem wagi dorównywała gwiazdom ekranu. Aczkolwiek tu i ówdzie dopuszczone są pewne wyłomy, a nawet dyktatorki mody pozwalają sobie na małe odchylenia w kierunku „vollschlank", co więcej, niektóre władczynie ekranu jak np. bujnokształtna, heteryczna wampirzyca ekranu wszem i wobec obnosi swoje 10 kg swej „vollschlank" figury — to jednak smukłość nie przestała nadal obowiązywać szanującej się kobiety. Zaiste nie ma to jak być mężczyzną! Im moda nigdy nie przepisuje wagi, ich przywilejem, że im zawsze było i jest dobrze.

Przyznać jednakowoż trzeba, że ta moda lekkiej atletyki, przepraszam, wagi, ma mimo wszystko pewne dodatnie strony. Pozwala ona niejednej umęczonej „harowaniem", udręczonej kłopotami finansowemi, przejętej kryzysem kobiecie zachować przynajmniej pozory zewnętrzne i uniknąć politowania pełnego wzroku swej przyjaciółki na temat złego wyglądu i wymizerowania. Powiedzą o niej bowiem: „To przecież nowoczesna kobieta i wagę zastosować potrafi do wymogów mody". A to coś warte.

Felicja Stendigowa.

To warto poznać..

NA SCENIE.

Autor „Marcyny", powieści, nagrodzonej na konkursie „I. K. C.", Juljusz Kędziora, zadebjutował na **krakowskiej scenie im. J. Słowackiego** dramatem w 3 aktach „Burza", napisanym, podobnie jak „Marcyna", gwarą i jak wspomniana powieść dającym obraz bezwzględnej walki chłopa o ziemię. Obraz jednostronny, bo pokazujący materjalistyczną stronę psychiki chłopskiej, gdyż tylko miastowi literaci chcą widzieć w chłopskich sporach o grunta przywiązanie do matki-ziemi.

Sztuka Kędziory wywołała ożywioną dyskusję, w której zgodnie przyznano autorowi duży samorodny talent dramatyczny, objawiający się przedewszystkiem w mocnem dramatyzowaniu dialogów, w bardzo dobrem, chwilami świetnem, charakteryzowaniu przez dialog bohaterów i w naogół umiejętnem wykorzystywaniu efektów czysto teatralnych. Nie umie jeszcze Kędziora poradzić sobie z konsekwentną kompozycją dramatu, gdyż o jego istocie i wartości nie stanowi nawet świetnie scenicznie przedstawiona kolejność wypadków. Po dobrej ekspozycji sztuki, dał Kędziora b. mocno i naprawdę teatralnie napisany akt II, ale w akcie III skrzywił linję kompozycyjną dramatu, zmieniając charakter utworu.

Sztuka ma cztery kapitalne role, narysowane śmiało, wyraziście, z rzetelnym artyzmem. Grają je: Teresa Suchecka, bardzo sumiennie i mocno odtwarzająca rolę Wikty, Tad. Burnatowicz (Jędrek) i St. Kępka (Kuba) — obaj świetni oraz Józef Karbowski (Józek), równocześnie staranny reżyser sztuki. **(swb).**



Scena z II aktu „Burzy" Juljusza Kędziory, wystawionej przez teatr im. Juljusza Słowackiego w Krakowie. Na zdjęciu (od lewej): T. Suchecka (Wikta), J. Karbowski (Józek) i T. Burnatowicz (Jędrek).

NOWE KSIĄŻKI.

Nakładem Gebethnera i Wolffa ukazała się pierwsza książka, nieznanej dotąd i przez firmę wykrytej, autorki — **Aliny Segeń** p. t. **„Anna"**. Jest to więc t. zw. debjut, który uznać trzeba za udały i interesujący, świadczący o niewątpliwym talencie i kulturze autorki.

Kompozycyjnie powieść została przełamana na dwie odrębne części, dość luźnie treściowo i psychologicznie związane ze sobą, dające nam jakby dwie obszerne nowele o bohaterkach, noszących to samo imię i psychicznie do siebie podobnych. Część I kończy się westchnieniem: „Smutno jest kochać uciążliwego cudzoziemca", westchnieniem, zamykającem bardzo bezpośredni, prosty a dyskretny, szczerą a delikatną młodą ręką kobiecą podany opis nieszczęśliwej miłości młodziutkiej Anny i austrjackiego inżyniera Roberta. Poznali się w Polsce, została jego kochanką, małżeństwo uniemożliwiło jego wydalenie z granic państwa. Rozwój tej miłości opowiedziany został przez autorkę miękkiemi tonami, ma momenty szczerze wzruszające, nie pozbawione poezji. Artystycznie cz. I stoi znacznie wyżej od cz. II, w której autorka usiłowała zabrać głos i w kwestjach etyki społecznej, rzucając myśli dziewczęco-naiwne, choć czasem niepozbawione głębszej wymowy.

Robert, nękany chorobą nerwów, spowodowaną miłością i rozłąką, tragicznie rozstaje się ze światem. W jego ślady idzie Anna, rzucając się pod pociąg. Wyratowano ją, ale jest łachmanem, który nie chce żyć, bo czuje się społecznie niepotrzebnym i zawadzającym drugim. Anna uważa, że ludzie nie mają prawa zmuszać do życia tych, którzy się go wyrzekają i po raz drugi rzuca się w fale stawu. Tej części II powieści zabrakło mocnej wymowy.

W każdym razie pozycją dodatnią rozpoczęła Alina Segeń swą twórczość i na następne warto czekać z zainteresowaniem.

(swb).

Niesłychanem ułatwieniem dla scen amatorskich jest wydawnictwo **„Rewja za trzy grosze"**, którego ukazały się dwa zeszyty pod redakcją Wiktora Budzyńskiego, znanego i dowcipnego kierownika „Wesołej lwowskiej fali". Tomiki te zawierają wesołe, popularne i utrzymane na dobrym poziomie literackim i muzycznym materjały rewjowe. Liczne wskazówki i odpowiedni dobór tekstów umożliwia realizację programu rewjowego, nawet na najmniejszej scenie przy minimalnych trudach i kosztach. Tomiki zawierają również nuty miłych melodyj. Należy się spodziewać, że oba zeszyty, noszące tytuły „Pif! Paf! Puf!" i „Na cenzurowanem" cieszyć się będą zasłużonem powodzeniem.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 24 stycznia.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transmisja nabożeństwa z Torunia.
10.30 „Słynni soliści" (płyty).
12.15 Koncert Zrzeszenia Orkiestr i Chórów Robotniczych. Transmisja z sali Domu Katolickiego „Roma".
13.00 Koncert rozrywkowy z Berlina.
14.30 Kwintet Stefana Rachonia.
15.00 Fragment koncertu organizowanego przez Tow. Opieki nad ociemniałymi.
15.30 „Audycja dla wsi".
16.35 Sielanka dźwiękowa „Walczyki panny Ludwiki".
17.00 Koncert popularny z Krakowa.
19.00 „Pietyzm i niedyskrecja w literaturze" — szkic literacki Boy-Żeleńskiego.
19.20 Muzyka taneczna.
21.00 „Na wesołej lwowskiej fali".
21.30 Recital wiolonczelowy Ewala Stegmana.
22.00 Koncert Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
23.00 Muzyka taneczna (płyty).

Poniedziałek, 25 stycznia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Koncert Orkiestry Mandolinistów.
15.15 Koncert rozrywkowy.
15.55 „Wszystkiego potrochu".
16.30 Cyganie w muzyce — koncert.
17.00 „Polak inicjatorem socjologji roślin" — odczyt.
17.15 Recital skrzypcowy Maxa Rostala.
18.50 „Przywłaszczenie" — feljeton prawno-społeczny.
19.30 Mała Orkiestra P. R.
21.00 „Wieczór Fraszek".
21.30 Józef Haas: „Dzień i noc" — suita na sopran i orkiestrę kameralną.
22.10 Muzyka taneczna.

wtorek, 26 stycznia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Wirtuozi fortepjanu i skrzypiec (płyty).
15.15 Mała Orkiestra Polskiego Radja.
16.30 Fragmenty zespołowe znanych oper (płyty).
17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść.
17.15 „Grają dzwony Kopenhagi" — audycja muzyczna.
17.50 „Grzeczność" — monolog.
19.00 „Dyskutujmy" — „Nasi maturzyści".
19.20 Koncert rozrywkowy.
20.00 Koncert symfoniczny z Domu Katolickiego „Roma".
22.30 „Poeta mitów i ekstazy" (Tadeusz Miciński) — szkic literacki.
22.45 Muzyka taneczna.

Środa, 27 stycznia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 „Legendy i ballady" (płyty).
12.50 „Tłuszcze w gospodarstwie domowem" — pogadanka.
15.15 Trzy soprany — koncert rozrywkowy (płyty).
16.10 „Zagadki historyczne" — audycja dla dzieci.
16.30 Orkiestra Policji Państw.
17.00 „Dywizja polska na Syberji" — odczyt.
17.15 Koncert solistów.
18.50 „Rzemiennym dyszlem po gospodarstwach Wielkopolski" — pogadanka.
19.20 Muzyka ludowa.
20.00 Muzyka (płyty).
21.00 Koncert chopinowski w wyk. Alfreda Kitchina.
21.30 „Pieśń o Rolandzie".
22.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, 28 stycznia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Poranek dla młodzieży szkół powszechnych.
12.03 „Perły koloratury" (płyty).
15.15 Koncert zespołu Heliny Adamskiej-Grossmanowej.
16.20 „Hokus-pokus dominikus" — audycja dla dzieci.
16.35 „Dwaj skrzypkowie" — (płyty).
17.00 „Jak cudze dziecko stało się szczęściem samotnych ludzi" — odczyt.
17.15 Muzyka salonowa.
17.50 „Książka i wiedza".
19.00 Utwory Beethovena — fortepjan.
19.30 Muzyka taneczna.
20.30 „Sosna polska wraca z Indyj" feljeton.
21.00 „Sylwetki kompozytorów polskich".
22.05 Mała Orkiestra Polskiego Radja.
22.35 Muzyka taneczna.

Piątek, 29 stycznia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Muzyka operowa (płyty).
15.15 Miniatury muzyczne.
16.30 Koncert Orkiestry Polskiego Radja.
17.00 „Co widziałem w północnej Islandji" — feljeton.
17.50 „Encyklopedja mówiona".
19.00 „Konik polny i mrówki" — bajka.
19.20 „Z pieśnią po kraju".
19.45 Fragment operowy.
20.15 Koncert symfoniczny.
22.30 „Za ścianą z papieru" — skecz.
22.45 Muzyka taneczna.

Sobota, 30 stycznia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 „Słynne orkiestry dęte" (płyty).
15.15 „Melodje z różnych stron świata" — koncert rozrywkowy.
16.15 „Leoncavallo—Mascagni" — koncert.
17.00 Duety w formie instrumentalnej i wokalnej.
19.00 Audycja dla Polaków z zagranicy.
19.15 Wielka wieczornica taneczna.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

„STAŁY CZYTELNIK — GDYNIA". W sprawie autografów radzimy zwrócić się do znanych antykwarjatów Lemasle'a, Paryż, Quai Malaquais, oraz do W. Hiersemanna, Berlin. W.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.